

Poznaj Świat

5
2012

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

Jagielski, Mazurek, Rosiak
W numerze:
Jagielski, Mazurek, Rosiak

str. 20

Małgorzata Jarmułowicz
i Zygmunt Leśniak

INDONEZJA

str. 30

Tomasz Michniewicz

ZIMBABWE

str. 44

Romuald Koperski

SYBERIA

NORWEGIA str. 10
KRAINA FIORDÓW

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614209 05



www.logostour.pl

801 011 864



Logos Tour

BIURO TURYSTYKI ZNP

Podróże na 7 kontynentów z LogosTour

Europa



Azja



Afryka



Australia

Ameryka Płn.



Ameryka Płd.



Antarktyda



Sprawdź naszą ofertę
ponad **150** tras
oferujących niezapomniane
przeżycia

CHINY – MACAU
– HONGKONG

CHINY – TYBET
(+ rejs po rzece Jangcy)

JAPONIA

MEKSYK
(+ półwysep Jukatan)

PERU – BOLIWIA

USA – PARKI NARODOWE

USA – ZACHODNIE WYBRZEŻE
(+ Hawaje)

TURCJA

MALTA

WŁOCHY – TOSKANIA

ROSJA
(Moskwa - Petersburg)

FRANCJA – WŁOCHY
(Korsyka) (Sardynia i Sycylia)

PODRÓŻE DLA KONESERÓW:

USA - NOWY JORK

JAPONIA

EKWADOR

+ Wyspy Galapagos



Indonezja str. 16



Polska str. 78



Zimbabwe str. 54



Australia str. 96

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

KRÓL NORWESKICH FIORDÓW str. 10

Podróż po wybrzeżu najdłuższego z norweskich fiordów, Sognefjordu. **Tomasz Duda**

TAM, TAM I INNE KIERUNKI... str. 18

Felieton **Dariusza Rosiaka**

KROPLA WODY Z WULKANU str. 20

Na indonezyjskiej wyspie Palue nie ma źródeł słodkiej wody, a mieszkańcom zagraża czynny wulkan. Osadnicy znaleźli sposób, by jeden problem rozwiązać za pomocą drugiego.

Małgorzata Jarmułowicz i Zygmunt Leśniak

KRWAWY BIZNES str. 30

Za zabitego nosorożca na czarnym rynku płaci się nawet pół miliona dolarów. **Tomasz Michniewicz**

GEOSKOP str. 38

**NIEDOKOŃCZONA WYPRAWA.
SKOŃCZONA TRYLOGIA** str. 44

Zimowa ekspedycja na krańce Czukotki. **Romuald Koperski**

MIASTO PRZEKŁĘTE str. 52

Tajemnicze Mada'in Saleh stanowi jedną z największych atrakcji turystycznych Arabii Saudyjskiej. **Piotr Wesołowski**

KADRY Z WARANASI str. 60

Fotoreportaż z Indii. **Patryk Kumosiński**

WYPALANIE TRAW str. 68

W zmasakrowanej twarzy białego farmera nie sposób rozpoznać budzącego paniczny strach Eugène'a

Terre'Blanche'a. Czarnoskórzy zabójcy nie próbują uciekać. Sami dzwonią na policję. Wymierzili tylko sprawiedliwość. **Wojciech Jagielski**

SĄ JESZCZE W POLSCE DZIKIE KONIE str. 72

Z wizytą u koników polskich w Popielnie. **Daniel Klawczyński**

NAVIGATOR str. 80

BUKARESZT ODZYSKUJE ŚWIETNOŚĆ str. 84

Stolica Rumunii zachwyca dziewiętnastowieczną architekturą.

Julia Michalczewska

MAZUREK NA WYNOS str. 92

Felieton **Roberta Mazurka**

ZAWÓD: WŁÓCZYKIJ str. 94

Rowerowa wyprawa przez Kanadę i USA. **Piotr Strzeżysz**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 102

Rozmowa z **Robertem Jansonem**

ŚWIĘTA GÓRA PRZODKÓW str. 104

Uluru, miejsce kultu australijskich Aborygenów, przyciąga rzesze turystów. **Krystyna Słomka**

Z PERSPEKTYWY str. 112

Wzruszające historie z życia doktor Wandy Błęńskiej.

Felieton **Ryszarda Badowskiego**

KUCHNIA POZNAJ ŚWIAT str. 116

OUTDOOR str. 118

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
Norweski fiord

Mariusz Jachimczuk

ERYTREA

Czarna i zmysłowa

Zdjęcie zostało zrobione w restauracji w Massawie. W Erytrei kawy nie parzy się, ale gotuje w małej ceramicznej lub metalowej kolbie nazywanej dżabaną. Ustawia się ją na tłącym węgla drzewnym. Ziarna kawy są najczęściej palone i mielone tuż przed podaniem. Na stół kładzie się rozżarzony węgielek, posypany pachnącym kadzidłem. Unoszący się z niego dym nadaje rytuałowi picia kawy dodatkowej zmysłowości.







KATEGORIA
PORTRETY ZWIERZĄT
WYRÓŻNIENIE

Xavier Ortega (Hiszpania)

TANZANIA
Śpiące małeństwo

Idąc przez las w górach Mahale, w Parku Narodowym w Tanzanii, Xavier usłyszał, jak niewielkie stado szympansov buszuje w koronach drzew. – Po kilku godzinach wyszedłem na polanę, gdzie dotarły szympansy. Usiadłem i zastygłem w bezruchu, by stado nie czuło się zagrożone. Zwierzęta były przyzwyczajone do naukowców, którzy podążali ich śladami, ale Xaviera nie znaly.

Zaakceptowały jednak jego obecność i do końca dnia mógł podglądać ich zachowanie. – Fascynujące było obserwowanie tak wielu różnych wyrazów twarzy i gestów, możliwość słuchania jak małpy „rozmawiają”. Szczególne zainteresowanie Xaviera wzbudziła matka z młodym. Zrobił jej wiele zdjęć, a to jest jego ulubione.

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZI Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2011, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 3 DO 29 MAJA 2012 WYSTAWA BĘDZIE PREZENTOWANA W KARKONOSKIM PARKU NARODOWYM W SZKLARSKIEJ PORĘBIE. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Bartosz Budrewicz

SENEGAL

Masz już zdjęcie. Kupisz banana?

Dziewczynka handlująca pomiędzy samochodami na ulicach Dakaru.



© XAVIER ORTEGA, HISPANIA, „Świat i męstwo”



Jacek Świętochowski

GAMBIA

Szukając złotej rybki

W wędzarni ryb w Tanji na wybrzeżu Atlantyku, świeżo złowione ryby sortuje się przed wędzeniem. Robotnicy pochodzą z Senegalu i można porozumieć się z nimi po francusku.



Łukasz Płotecki

MAROKO

Ściana w kolorze pustyni

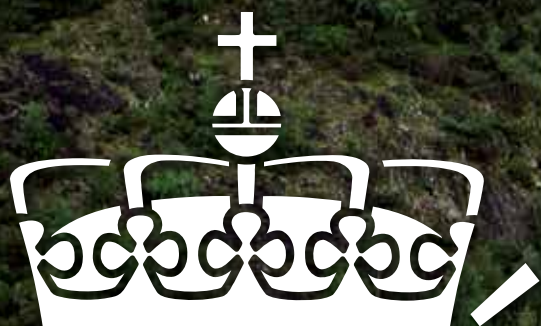
Nie na każdym tle, stary i zużyty rower prezentuje się tak,
jak na wąskich uliczkach Marakeszu.

KONKURS AKADEMII NIKONA
I MIESIĘCZNIKA POZNAJ ŚWIAT
WYRÓŻNIENIE



Przyślij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





KROŃ NORWESKICH FIORDÓW

Tomasz Duda



Majestatyczne masywy górskie, kilkusetmetrowe ściany skalne, opadające w czeluście długich, głębokich fiordów, rozległe połacie lodu... Jest obszar w Norwegii, gdzie odnaleźć można to wszystko, a także unikalne zabytkowe kościółki, malowniczo wpisane w ten krajobraz. To okolice Sognefjordu – największego obszaru fiordowego tej części świata.

się tu poczuć jak w skansenie – mieszkańcy z dumą noszą stroje ludowe, podtrzymują lokalne zwyczaje, a w odizolowanych górskich dolinach od setek lat funkcjonują drewniane farmy oraz stare drewniane kościoły stavkirke.

SMOKI W KOŚCIELE

Nieco ponad dwie godziny jazdy dzieli Bergen – drugie pod względem wielkości miasto Norwegii – od regionu Sognefjord. Zjeżdżając z płaskowyżu Stølsheimen w okolicach miejscowości Vik, mamy dość czasu, by móc nacieszyć wzrok połyskującą w słońcu taflą fiordu. Ta wąska i niezwykle kręta zatoka ciągnie się ponad 200 kilometrów w głąb lądu, tworząc charakterystyczny układ licznych rozgałęzień, przecinających w poprzek niemalże cały kraj. Sognefjord jest najdłuższym spośród norweskich fiordów i drugim co długości na świecie. Równie imponująca jest jego głębokość, sięgająca ponad 1300 metrów. Dla porównania – najgłębsze miejsce Morza Bałtyckiego to „zaledwie” 450 metrów.

Zanim jednak staniemy nad brzegiem fiordu, podziwiamy niezwykle budowlę – drewniany kościół typu stav – Hopperstad, który od XII wieku, niezmiennie, stoi u wrót mitycznej krainy olbrzymów i trolli. Tajemniczości temu miejscu dodają znaki runiczne oraz wizerunki smoków, zdobiące wnętrze świątyni. Wykonane przez średniowiecznego artystę, do dziś angażują wyobraźnię badaczy kultury, gdyż ich znaczenia wciąż nie udało się jednoznacznie wyjaśnić. Kościół Hopperstad jest jednym z najstarszych i najpiękniejszych tego typu obiektów w Norwegii.

PRZYJACIELE KOZIEGO SERA

Rewia zachwycających krajobrazów zaczyna się w rejonie Aurland, nieco ponad 50 kilometrów na wschód od wspomnianego Vik. Zaczynamy od Gudvangen – niewielkiej wioski położonej na samym końcu Nærøyfjordu, otoczonej niebotycznie wysokimi urwiskami. To najwęższy fiord w Norwegii. Przy długości ponad 11 kilometrów, jego szerokość w kilku miejscach nie przekracza 500 metrów. To wymaga nie lada umiejętności od sterników promów i turystycznych statków wycieczkowych,



Wybrzeże najdłuższego z norweskich fiordów stanowi największą atrakcję turystyczną popularnej trasy „Norwegia w pigułce”. Wycieczka statkiem z Gudvangen do Flåm czy podróż Drogą Śnieżną wzdłuż Aurlandsfjorden dostarczają niezapomnianych wrażeń. Ale wybrzeża Sognefjordu to nie tylko ostoja surowej, nieskażonej przyrody. Niekiedy można

przemierzających potężną, skalistą rynnę. Zdecydowana większość turystów odwiedzających te strony wybiera taką właśnie drogę do, położonego po drugiej stronie góry, Flåm.

My jednak jedziemy łądem. Powód jest szczególny i położony około ośmiu kilometrów w bok od głównej trasy. Wieś Undredal niemal do końca XX wieku dostępna była jedynie od strony wody. Dziś prowadzi do niej wąska droga asfaltowa, którą nietrudno przeoczyć. Undredal tworzy kilkanaście zagród, położonych nad samą wodą Aurlandsfjordu. Wieś od wieków słynęła z produkcji koziego sera. Dziś, za niewielką opłatą, można zostać posiadaczem specjalnej karty Undredal Kort. Dzięki niej można liczyć nie tylko na poczęstunek u gospodarzy, ale również na przewodnika po drewnianym kościele oraz otrzymać roczne członkostwo w... Towarzystwie Przyjaciół Koziego Sera!

Świątynia w Undredal to nietypowy, bo pomalowany na biało, drewniany kościół, najmniejszy spośród wszystkich stavkirke w Norwegii. Jego historia zaczyna się już w XII wieku. Biały kolor świątyni zawdzięcza ponoć okresowi duńskiej dominacji na tym terenie. Chcąc wymazać z pamięci mieszkańców ich norweskie dziedzictwo, Duńczycy dokonali właśnie takiego zabiegu, malując na biało nawet naczynia liturgiczne.

Pobliskie Flåm to kombinat turystyczny. Latem przybijają tu potężne statki wycieczkowe. Liczba ludności tej niewielkiej miejscowości wzrasta wówczas nawet stukrotnie. Największą atrakcją Flåm jest słynna linia kolejowa Flåmsbana, łącząca port z położoną nieco ponad 20 kilometrów na południe stacją Myrdal. To jedna z najbardziej spektakularnych tras kolejowych na świecie, gdzie zastosowano śmiało rozwiązania inżynieryjne, aby pokonać, liczącą ponad 860 metrów, różnicę wysokości. Największy spadek na trasie wynosi aż 5,5 procent – to rekordowy wynik wśród wszystkich normalnotorowych linii kolejowych na



świecie. We Flåm powstało również niewielkie muzeum, w którym odnaleźć można informacje dotyczące budowy linii Flåmsbana.

WIDOK JAK Z REKLAMY

Podróż wzdłuż brzegów Aurlandsfjordu dostarcza niezapomnianych wrażeń, ale prawdziwe emocje czekają na śmiałków podążających

STAVKIRKE W UNDREDAL

Stavkirke oznacza dosłownie „kościół słupowy”. Świątynie tego typu, inaczej zwane klepkowymi lub masztowymi, należą do najstarszych drewnianych zabytków Europy.



...A FIORDY SĄ GŁĘBOKIE I SZEROKIE

Sognefjord to drugi pod względem długości fiord na świecie (205 km), a zarazem najdłuższy w Norwegii. W najgłębszym miejscu ma 1 308 metrów, a jego szerokość waha się od 1,5 do 6 km.

starą drogą do Lærdal. Pnie się ona serpentykami wysoko, ponad zabudowaniami miejscowości Aurland. Po kilku kilometrach karkołomnej jazdy znajdujemy się już na wysokości niemal 1000 metrów ponad poziomem fiordu. Nawet latem leżą tu wielkie połacie śniegu zalegające przy samej drodze. Stąd zresztą historyczna nazwa trasy – Snøvegen (Śnieżna Droga). To właśnie zdjęcia wykonane ze obrzeży Snøvegen pojawiają się w większości materiałów promocyjnych związanych z regionem Sogn og Fjordane.

Jeszcze do niedawna Śnieżna Droga była jedynym połączeniem Flåm i Bergen z Lærdal. Oddany w 2000 roku Lærdalstunellen, umożliwił wygodne drogowe połączenie stolicy kraju Oslo z Bergen. Jest to najdłuższy drogowy tunel na świecie – liczy 24,5 kilometra. Aby urozmaicić kierowcom monotonię jazdy w niemal idealnie prostym tunelu, co sześć kilo-

metrów wydrążono ogromne sale, które oświetlono niebiesko-białym światłem, upodabniającym je do podlodowcowych grot.

Okolice Lærdal to kolejna porcja niezwykłych obiektów i malowniczych krajobrazów. Na zwolenników walorów przyrodniczych czeka tu Norweskie Centrum Dzikiego Łososia, gdzie zapoznać się można z jego biologią oraz sposobem połowu. Okoliczne potoki aż roją się od tych ryb. Po wykupieniu specjalnej karty, każdy posiadacz „kija” może sam wyruszyć na łowy.

Zupełnie innego rodzaju atrakcja czeka na turystów pół godziny drogi dalej na wschód. Drewniany kościół Borgund (stavkirke) jest jednym z największych i najlepiej zachowanych wikingich świątyń średniowiecznej Norwegii. Wspaniałe głowy smoków i bogata ornamentyka roślinna są znakiem rozpoznawczym tego miejsca.



TROLLE SĄ WSZĘDZIE

W okolicach Lærdal przeprawiamy się promem na drugą stronę Sognefjordu. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze w XX wieku, żeby móc dojechać na drugi brzeg najdłuższego norweskiego fiordu, trzeba było go objechać. Aby dotrzeć do miejscowości po drugiej stronie, oddalonej zaledwie o trzy kilometry, należało pokonać trasę 150 kilometrów. Problem rozwiązało wprowadzenie regularnej komunikacji promowej.

Od północnej i wschodniej strony do fiordu przylega górzysta kraina – Jotunheimen. To mityczna siedziba olbrzymów i trolli, które i dziś norweska tradycja każe widzieć w kształcie każdego szczytu czy doliny. W obrębie Jotunheimen znajduje się najwyższy szczyt Nor-

wegii – Galdhøpiggen (2469 m n.p.m.). Region masywu przykryty jest czapami lodowymi i objęty został ochroną jako Park Narodowy Jotunheimen. Pośród dzikich i niedostępnych szczytów, z widokami na lodowce, prowadzi jedna z najpiękniejszych tras samochodowych

LODY PÓŁNOCY

Największym lodowcem Norwegii i zarazem kontynentalnej Europy jest Jostedalbreen. Obejmuje obszar 487 km².





FOT. JENS HENRIK

w Europie – droga Sognesfjellvegen (Rv55). Wysokie na kilka metrów zasypane śniegiem ciągną się kilometrami po obu stronach szosy nawet wczesnym latem. To najwyższa położona droga w Skandynawii, osiągająca wysokość 1400 metrów.

Zanim jednak trasa wyprowadzi nas wysoko w góry, podążamy wzdłuż brzegu Lustrafjordu – jednej z kilkudziesięciu odnog wielkiego systemu Sognefjordu. Celem jest kolejna atrakcja spod znaku dziedzictwa kulturowego UNESCO – najstarszy w Norwegii kościół drewniany typu stav, wzniesiony we wsi Urnes. Niezwykle bogato zdobiony portal świątyni pochodzi z IX wieku. Przedstawia misternie wyrzeźbione motywy roślinne oraz głowy mitycznych postaci – to majstersztyk średniowiecznego rzemiosła. Charakterystyczny wzór, często później naśladowany, znany jest jako motyw lub styl Urnes.

LÓD I OWOCE

Wracamy na zachód. Od północy tylko niewysokie pasmo oddziela nas od największego pola lodowego kontynentalnej Europy – lodowca Jostedal. W kilku miejscach spływa on okazałymi jezorami w doliny. Nigardsbreen i Briksdalsbreen, często mylnie określane jako odrębne lodowce, są jedynie fragmentami wielkiej czaszy Jostedal. Na lodowiec można wyruszyć z przewodnikiem, z bliska przypatrzeć się jezorowi i zajrzeć do lodowych jaskiń.

W okolicy Fjærland znajdujemy liczne antykwariaty, jakimi szczyli się osada Mundal. Tradycja kiermaszy i wystawiania na sprzedaż starych książek (pojawiają się również inne starocie) sięga kilkudziesięciu lat. Mundal zyskało przydomek Norweskiego Miasta Książki (Norsk Bokbyen) i jest to marka znana także poza granicami Norwegii.

Podróż kończymy, a jakże, nad brzegiem Sognefjordu. W Balestrand, znanym XIX-wiecznym kurorcie, znajduje się najwięcej w całym kraju budowli wzniesionych w stylu szwajcarskim. Wspaniałe, misternie zdobione pensjonaty i hotele otaczają malownicze sady pełne jabłoni i gruszy. To miłe zaskoczenie na koniec podróży. Okazuje się po raz kolejny, że rejon Sognefjordu ma niezmiernie wiele do zaoferowania. ○



Hannah
CALCULACJA INŻYNIERSTWA

RIDER - bardzo lekki dwuosobowy namiot wyróżniający się wyjątkową stabilnością i minimalną objętością korzystną do zapakowania. Konstrukcja o trzech prętach. Jedno wejście, jedna absyda. Otwory wentylacyjne chronione przeciwko zaciekaniu. Prosty montaż i demontaż, uniwersalne wykorzystanie

Waga: 2 450 g
Wielkość po spakowaniu: 14 x 45 cm
Tropik: 210T polyester R/S PU/ 3 000 mm WR
Podłoga: 210T polyester PU/ 7 000 mm

Ultralekkie namioty Hannah z serii LITE są dzięki kombinacji niskiej wagi i świetnego rozwiązania konstrukcyjnego, najlepszym wyborem dla alpinistów, ale również dla entuzjastów trekkingu podczas kilkudniowych wypraw, cyklistów lub wodniaków. Są przydatne do całorocznego użytku i można je spotkać wszędzie tam, gdzie decyduje waga i wytrzymałość.



Ostatnio jechałem siedem godzin w okolice Szczecina. Pociągiem. Co za wspaniałe uczucie! Koła terkotały, drzewa migotały, na łąkach krowy, na polach traktory. Przez siedem godzin niby nic się nie stało, ale jak wiele się działo!



Bardzo to było odświeżające, bo podróż od jakiegoś czasu przestała nam się kojarzyć z pokonywaniem dystansu. Nikt nie ma na to czasu. Chodzi o to, żeby jak najszybciej znaleźć się w miejscu przeznaczenia, tam załatwić sprawę, przeżyć to, co jest do przeżycia, potem wrócić i mieć co opowiedzieć znajomym. Najlepszy do tego jest oczywiście samolot, ten sprytny oszust, wielki iluzjonista, podstawowe narzędzie uniformizacji naszych podróżniczych przeżyć. W samolocie można podróżować w nieskończoność, można umrzeć w nim ze zmęczenia, a mimo to nie poczuć, że pokonało się jakikolwiek dystans. Wsiadasz, potem siedzisz i na koniec wysiadasz – ot i cała historia.

Wielu młodych ludzi nie wyobraża sobie podróżowania inaczej, ale powszechne latanie samolotem to całkiem świeże doświadczenie. Świeże, czyli trwające nie sto lat, ani nawet pięćdziesiąt. Oczywiście, można wracać do

czasów, gdy morza i oceany pokonywało się wyłącznie statkiem, a kontynenty zaprzęgiem konnym, ale nie trzeba. Jeszcze przed 1989 rokiem większość Polaków nie latała samolotami. Ja na przykład pierwszy raz poleciałem, gdy miałem 21 lat, a kolejny raz – po następnych pięciu latach. Jeździliśmy pociągami, co miało swoje złe strony (czasem, aby znaleźć miejsce w rzeźni do Zakopanego trzeba było wdrzeć się przez okno, jazda przez całą noc w brudnej toalecie też nie jest szczytem luksusu), ale miało też dobre. Pociąg nie oszukuje, nie nudzi niezmiennym krajobrazem, nie otumania jednostajnym hałasem. Koła zmieniają rytm, dzień zmienia się w noc, las w polanę, a rzeka ucieka do morza. Pociąg udowadnia niedowiarcom, że przenoszenie się z miejsca na miejsce polega na pokonywaniu odległości, mijaniu ludzi, upływie czasu.

Ta ludzka potrzeba nie mija i pewnie dlatego podróżnicy wymyślają dziś różne dziwne rzeczy, aby tylko wydłu-

żyć czas podróżowania, np. przesiadają się na rower, albo łódź, albo deskę do surfowania. Albo idą piechotą. Potrzeba ekstremalnych przeżyć to jedno, a drugie to chyba właśnie marzenie o odmierzeniu i poczuciu rzeczywistego dystansu.

Jak dla mnie nic nie pobije pociągu. Wiem, że to nie jest dobry moment na chwalenie kolei, zwłaszcza polskich, ale co tam. Dla mnie nie ma podróży bez pociągu i trzymam kciuki za PKP, aby wreszcie odbiło się od dna.

Pociąg jest jak dom, każdy wagon ma swoje znaki szczególne, po każdym widać upływ czasu, do każdego stylu się przyzwyczajamy, każda nowa wersja budzi zaskoczenie, czasem zawód, czasem zachwyty. W moim pociągu do Szczecina szyby uszczelniane były papierem gazetowym (pewnie zabrakło gumy), a fotele jeździły jak w wózku wioślarskim, bo blokady nie działały. Metal pokryty był rdzą, a lustra cienką warstwą kurzu. Trochę śmierdziało.

I co? Nic. Przeżyłem. Jeśli miałyby to miejsce w Afryce, zamiast narzekać opowiadalibyśmy o specyfice tamtejszych kolei. Nasze też są specyficzne.

Dawno temu, regularnie, kilka razy w roku jeździłem pociągiem na trasie Paryż – Warszawa i z powrotem. 24 godziny spotkań z ludźmi mówiącymi różnymi językami, zmiennych krajobrazów, 24 godziny zmęczenia, snu i jawy. Przechadzki po korytarzu, posiłki w wagonie restauracyjnym, spacerki po peronach na stacjach w Niemczech, Holandii, Francji i te pociągowe znajomości niemożliwe do kontynuowania po wymianie adresów (wtedy jeszcze wymieniano prawdziwe adresy, a nie maile, nawet numer telefonu był luksem). Potem bilety lotnicze staniały, kolejowe zdrożały i, jak to zwykle bywa, gorszy pieniądz wyparł lepszy.

Można by oczywiście zamienić pociąg na samochód, ale to jak zamiana siekiery na kijek. W samochodzie do nudy i poczucia całkowitej bezradności (jestem całkowicie zależny od maszyny) dochodzi wnerwienie na innych kierowców i fizyczne zmęczenie. Do dziś, jeśli mam wybór, zawsze wolę pociąg od samochodu.

W Anglii poznałem instytucję train-spotterów, czyli dziwnych ludzi, zazwyczaj mężczyzn, którzy stoją na peronie i obserwują pociągi. Zwykle są wyposażeni w termos z herbatą przechowywaną w reklamówce i długi płaszcz. Przychodzą bez względu na pogodę, zapisują numery lokomotyw i wagonów pociągów, kontrolują rozkład jazdy, porównują zapiski z kolegami, po czym wracają do domu i analizują dane. Z pozoru są to dziwolągi, w hierarchii ekscentryków stojący tylko szczebel wyżej od ekshibicjonistów, znacznie poniżej wędkarzy i filatelistów.

Niesłusznie. Trainspotterzy, czyli łowcy pociągów, powinni być pod ochroną, podobnie zresztą jak koleje państwowe i muzea, w których można oglądać stare lokomotywy, luksusowe wagony, prawdziwe wehikuły czasu, dla których kiedyś nie było realnej alternatywy, a które dziś przypominają nam na czym polega prawdziwe podróżowanie.

Pamiętacie rozdział o podróży Madame Diouf na trasie Dakar – Bamako z „Hebanu” Kapuścińskiego? Ten pociąg już nie kursuje, w każdym razie nie tak regularnie jak za czasów autora, na dworcu w Bamako pasą się kozy i dogo-

rywają w słońcu zardzewiały wagony. O świetności przypominają tylko stare fotografie i nagrania wielkiego malijskiego zespołu Bamako Rail Band, a raczej Super Rail Band of the Buffet Hotel de la Gare Bamako – to chyba jedyny zespół założony i mający przez długie lata siedzibę w bufecie dworca kolejowego. Z niego wywodzą się między innymi Salif Keita, Djelimady Tounkara i Mory Kante. W Afryce, Europie, Azji i Ameryce linie kolejowe opowiadają historię kontynentów, są dowodem czasem szlachetnych, czasem mniej szlachetnych marzeń o ujarzmieniu przestrzeni i podporządkowaniu człowiekowi natury. To, że do nich wracamy świadczy o tym, że jednak magia ciągle ma swoją moc.

Pamiętajmy o starych dworcach, podróżujmy pociągami, nie krytykujmy bezmyślnie kolejarzy. W Anglii, gdzie kolej była podstawą rozwoju imperium, dziś doprowadzono ją do upadku, nie idźmy tą drogą. Choćby z szacunku dla dawnych budowniczych linii kolejowych i ich marzeń nie dajmy pogrzebać kolei w zalewie krytyki i nie grzebmy w sobie potrzeby jeżdżenia pociągami. Do prawdziwej podróży nikt nie wymyślił niczego lepszego.

Przybywaj do Gniezna, Miasta Królów!

Jednym z największych bogactw naszego kraju jest jego wielowiekowa historia i kultura. Odwiedź więc Gniezno – miasto koronacji pierwszych pięciu polskich królów, w którym tradycja tysięcy przeplata się z teraźniejszością. Przekonasz się o tym, biorąc udział w wyjątkowych festiwalach i imprezach, które dostarczą Ci niezapomnianych wrażeń.

Królewski Festiwal Artystyczny: 11-13 maja

Przygotuj się na niezwykle atrakcyjne: koncerty, wystawy, spektakle teatralne, pokazy filmowe i inne wydarzenia artystyczne. Ponadto: specjalny program dla dzieci!

V Turniej Żużlowy o Koronę Bolesława Chrobrego: 2 czerwca

Poczuj niesamowite emocje sportowe na stadionie żużlowym, gdzie odbędzie się walka najlepszych żużlowców na świecie o Koronę Bolesława Chrobrego.

Koronacja Królewska: 28-29 lipca

Nie przegap unikalnego wydarzenia w średniowiecznym klimacie: historycznej inscenizacji Koronacji Pierwszego Króla Polski.

Daj się porwać urokowi Pierwszej Stolicy Polski!

Dowiedz się więcej: www.krolewskieGniezno.eu





KROPIEŁA

WODY Z WULKANU

Małgorzata Jarmułowicz i Zygmunt Leśniak



Natura wykazała przewrotne poczucie humoru, nadając wyspie Palue kształt parasola. Ten niewielki, okrągły skrawek lądu dzieli, wraz z innymi wyspami archipelagu Nusa Tenggara, trudny los najsuchszych rejonów Indonezji. Widok deszczowych chmur, nadciągających z początkiem grudnia, oznacza tu życie, a podstawą przetrwania wielomiesięcznych okresów suszy jest skrupulatnie gromadzona woda opadowa. W takich miejscach ludzka zaradność i determinacja przechodzą wyjątkowo ciężką próbę. W połowie sierpnia, na półmetku pory suchej, płyniemy pasażersko-towarową łodzią ku brzegom Palue, by spotkać ludzi, którzy zdecydowali się tam żyć.

Na siedemdziesięciu dwóch kilometrach kwadratowych wyspy nie ma żadnych naturalnych źródeł słodkiej wody. Dodatkowo jej mieszkańcom stale zagraża czynny wulkan Rokatenda. Za dużo jak na możliwości człowieka? Nic podobnego! Tutejsi osadnicy znaleźli unikalny, a zarazem genialnie prosty sposób na to, by jeden problem rozwiązać za pomocą drugiego. Na Palue receptą na brak pitnej wody okazał się właśnie... wulkan.

ZAPOMNIANA WYSPA

O istnieniu niezwykłej wyspy, której mieszkańców poi dymiąca góra, dowiadujemy się przypadkiem w Maumere, portowym mieście na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy Flores. Nie sposób zweryfikować tych informacji w żadnym przewodniku, ani nawet we wszechwiedzącym internecie. Palue pozostaje praktycznie białą plamą na turystycznej mapie Indonezji. Drażąc temat, upewniamy się, że to osobliwe miejsce koniecznie trzeba odwiedzić, ale nie uda się to bez zgody i pomocy samych mieszkańców. Znajomości zawarte w Maumere działają z zadziwiającą skutecznością i po paru dniach płyniemy na Palue w asyście – bagatela! – najbliższej rodziny nieformalnego wodza wyspy: jego brata Petrusa i anglojęzycznej siostrzenicy Indy. Ich autorytet i świetna znajomość terenu okazały się równie nieocenione, jak gościna zaoferowana nam przez lokalnych krewniaków wodza. Już na miejscu przekonamy się, że wyspa rzeczywiście nie jest przygotowana na turystów. Nie ma tu nie tylko bazy noclegowej, ale nawet sklepów, a o zdrowie mieszkańców dba jedynie felczer, wyposażony wyłącznie w plastry opatrunkowe.

Czterogodzinny rejs na Palue to przeżycie samo w sobie. Zdezelowane łodzie, wyładowane są po brzegi ludźmi, kwiczącym i gdaczącym inwentarzem, motocyklami i górą najróżniejszych pakunków. Podczas nagłych zmian pogody łodzie często toną, nie wytrzymując starcia z dużymi falami. Przy odrobinie wyobraźni można w tym odnaleźć echa jednego z mitów założycielskich wyspy. Opowiada on o armadzie siedmiu łodzi, jakimi mieli dotrzeć na Palue praprzodkowie jej mieszkańców. Dwie łodzie, wiozące wodę i ryż, nie osiągnęły celu, i dlatego wyspa pozbawiona została właśnie tych dóbr.





FOT. MALGORZATA JARULOWICZ I ZYGMUNT LESNAK



FOT. MALGORZATA JARULOWICZ I ZYGMUNT LESNAK

Osadnictwo na wyspie od początku funkcjonowało na wyjątkowych zasadach. Nadało to odrębny charakter również tutejszej kulturze. Ludzie z Palue mają swój własny język oraz wierzenia i rytuały, w których istotną rolę odgrywają siły natury charakterystyczne dla tego miejsca. W 1928 roku nastąpiła największa w dziejach erupcja Rokatendy, w wyniku której zginęły setki osób, a wyspę zrujnowało

równocześnie trzęsienie ziemi i fala tsunami. Miejscowa ludność nie miała wtedy wątpliwości, że wulkan zareagował gniewem na arogancję holenderskich kolonizatorów, kopiących ziemię u jego stóp w bezskutecznym poszukiwaniu słodkiej wody. Białym intruzom udało się narzucić dominację mieszkającym na Palue ludziom, ale nie przyrodzie.

PRZYSTAŃ W PALUE

Niebezpiecznie przeladowane łodzie wożą ludzi i ich dobytek. Palue nie posiada pirsu portowego, dlatego meble, zwierzęta, a nawet motocykle rozładowywane są wprost do wody.



FOT. MALGORZATA JARULOWICZ I ZYGMUNT LESNAK

PIĄTKA BEZ STERNIKA

Mali paluańcy, jak wszystkie dzieci na świecie, z zaciekawieniem przyglądają się przybyszom.



PRZYPLYNĘŁA, NIE POJEDZIE

Ciężarówka, pozostawiona przez australijską ekipę budowlaną, czeka na zdolnego mechanika.

Umiejętność życia w warunkach skrajnie nieprzyjazznych człowiekowi pozostała nienaruszonym monopolem wyspiarzy i nie zmieniły tego nawet ostatnie interwencje pomocowe takich potęg technologicznych, jak Japonia czy Australia. Japoński plan wyposażenia wyspy w urządzenia do odsalania wody morskiej zakończył się fiaskiem. Dziś mało kto o nim pamięta. Z kolei po Australijczykach pozostało kilka betonowych zbiorników na deszczówkę i rozklekotana ciężarówka. Zmiany cywilizacyjne zadziałały na wyspie wybiórczo. Pod wpływem intensywnej chrystianizacji na początku XX wieku, miejscowi przyjęli wiarę katolicką.

Poddali się też narzuconej władzy. Dziś korzystają z dobrodziejstw nowoczesnej techniki w postaci choćby telefonów komórkowych czy agregatów prądotwórczych. Jednak w sztuce obłaskawiania lokalnych sił natury wciąż są zdani na własny spryt.

BAMBUSOWA WYTWÓRNIĄ WODY

Unikalne na skalę światową świadectwo tego sprytu oglądamy już kilka godzin po dotarciu na wyspę. Pokonujemy wcześniej kamienisty szlak w górę jednego z wulkanicznych wąwo-

SKRAPLARNIA W RERUWAIRERE

Połączone rury bambusowe skutecznie zbierają wodę, która wpada do plastikowych wiader i kanistrów. Ten system poa jest znacznie oddalony od zabudowań. Dogląda go jedyna mieszkająca tuż obok rodzina.



zów, które zbiegają promieniście z wierzchołka Rokatendy ku morzu. Gdy docieramy do polany, na której podgrzewana przez wulkan ziemia zaczyna dymić gorącą parą, rozpościera się widok na przedziwną instalację. Dziesiątki wbitych w grunt bambusowych kominów łączą się pół metra nad ziemią z końcówkami poziomych, wielometrowych rur. Ich równoległe rzędy przypominają tor biegu przez płotki. Prawdziwą ideę tego wynalazku wyjaśniają cenne krople wody, skapujące ze skośnych otworów. Oto oglądamy jedyną w swoim rodzaju wytwórnę wody wulkanicznej, wykorzystującą prosty mechanizm skraplania pary wodnej, która schładza się w poziomych odcinkach bambusowych pni. Woda ta nie tylko nadaje się do picia, ale zdaniem wyspiarzy posiada właściwości lecznicze. Mamy powody, by w to uwierzyć: gdy Zygmunt podczas forsovania któregoś „płotka” nieszczęśliwie rozbija sobie gołęń, Petrus za pomocą okładu z gorącej wody w pięć minut likwiduje paskudny obrzęk. Nie na darmo jego ojciec uchodził na wyspie za doskonałego znachora.

Takich instalacji, zwanych przez miejscowych poa, działa na wyspie więcej. Nazajutrz trafiamy do wsi Woko Kesokoja, gdzie labirynt rur znajduje się bezpośrednio przy zabudowaniach. Kropla po kropli, życiodajna ciecz spływa do podstawianych dzbanów i wiader. Choć wydajność pojedynczej rury jest raczej



WODA KROK PO KROKU

Tu do domu, każdą kroplę wody trzeba przynieść.

mizerna, w sumie stanowi to bardzo istotne, bo darmowe i niezawodne uzupełnienie zbyt małych zapasów wody opadowej. Poa nie mają długiej historii, wynaleziono je w latach 60. XX wieku, gdy populacja wyspy nie przekraczała trzystu osób. Wcześniej musiała wystarczyć zebrana deszczówka oraz woda pozyskiwana z orzechów kokosowych i z soczystych części roślin, na przykład pędów bambusa lub pni bananowca. Dzięki nowej metodzie pozyskiwania wody, liczba ludzi żyjących na wyspie wzrosła do około 10 tysięcy, chociaż sezonowo się zmienia, gdyż w okresie suszy wielu mężczyzn migruje dla zarobku na sąsiednią Flores.

SKRAPLARNIA W WOKO KESOKOJA

Tutaj poa zlokalizowane są przy samych domostwach. Dzieciaki z poszczególnych rodzin czekają aż im nakapie...



ZESPÓŁ JEDNEGO PRZEBOJU

Obchodom Dnia Niepodległości akompaniował miejscowy band. Aż szkoda, że muzycy w repertuarze mieli tylko jeden utwór.



PIERZE, PIECZE I LECZY

Nasz pobyt na Palue zbiega się w czasie z obchodami indonezyjskiego Dnia Niepodległości (17 sierpnia), mamy więc rzadką sposobność, by zwykle rozproszonych mieszkańców wyspy obejrzeć podczas licznego zgromadzenia. W tej odświętnej sytuacji wyglądają rzeczywiście reprezentacyjnie: wiele kobiet w ręcznie tkanych ikatach, mężczyźni w batikowych koszulach, dzieci tworzące chór – w mundurkach. Przy okazji przekonujemy się po raz kolejny, że na tej niewielkiej wyspie wszystko ma odpowiednio skromną skalę: patetyczne przemówienie wygłasza jedyny urzędnik państwowy, modlitwę odmawia jedyny duchowny, a paradę wojskową wykonuje... jedyny żołnierz.

Po obchodach, zorganizowanych wedle ogólnokrajowego schematu, na Palue szyb-

ko wraca jednak codzienność. Codzienność swojska, ale jednak wyjątkowa, bo dziejąca się w miejscu, gdzie ludzie wykształcili wyjątkowy przepis na życie. Jego ideą wydaje się mądre partnerstwo z naturą, która potrafi przecież nie tylko szkodzić, ale również służyć człowiekowi. Dowody tego spotykamy na każdym kroku. Ślady niszczycielskiej siły wulkanu widać na ścianach okolicznych domów, popękanych w wyniku niewielkich, lecz częstych trzęsień ziemi. Silna erupcja w 1992 roku skłoniła wielu mieszkańców do opuszczenia wyspy. Władze ułatwiły tę migrację, darowując Palueńczykom ziemię do zasiedlenia na obrzeżach Maumere. Ci, którzy pozostali, nauczyli się „współpracować” z wulkanem. Kobiety piorą ubrania w wodzie z nadmorskiej studni – wprawdzie słonawej, ale za to gorącej; słodkie bulwy gotu-

DEFILADA

Obchody Dnia Niepodległości są wprawdzie bardzo skromne, ale za to bardzo oficjalne.





FOT. MALGORZATA JARMUŁOWICZ I ZYGMUNT LESNAK



FOT. MALGORZATA JARMUŁOWICZ I ZYGMUNT LESNAK



FOT. MALGORZATA JARMUŁOWICZ I ZYGMUNT LESNAK



CICHYM ŚCIGAŁEM GO LOTEM...

Tylko podwodnym polowaniom towarzyszy cisza. Poczciwy na lądzie – pod wodą Albinus staje się bezwzględny łowcą, a przy tym zachowuje się tak, jakby natura wyposażyła go w skrzydła.

FOT. MALGORZATA JARMUŁOWICZ I ZYGMUNT LESNAK



WYPATRYŁ PRZYDACZNIE

Petrus, brat wodza wyspy, dumnie prezentuje muszlę przydaczni, znalezionej na rafie.

FOTOGRAF ATRAKCJĄ PIKNIKU

Trzask migawki odwrócił uwagę uczestników pikniku od głównych uroczystości.

je się wprost w rozgrzanej ziemi; wywierzyska z siarczaną wodą przy plaży są wykorzystywane do leczenia schorzeń skóry.

PAPAJA OD ALBINUSA

W tę zdrową, a coraz radszą w Indonezji koegzystencję ludzi z naturalnym środowiskiem, wpisują się nietypowi rybacy, z jakich Palue

słynie w okolicy. Słyszeliśmy już w Maumere o ich osobliwej technice łowieckiej. Od pokoleń polują na ryby za pomocą prymitywnych kusz, nurkując na bezdechu po okolicznej rafie. Ich oręż, wykonany ze starych szprych i dętek rowerowych, nie wygląda zbyt poważnie. Wyposażeni w okulary pływackie własnej roboty, poruszają się w błękitnej toni w wdziękiem i harmonią istot powołanych do życia w wodzie. Wypracowana od pokoleń technika upodabnia ich do lewitujących wojowników z chińskich filmów kung-fu albo do czujnych drapieżników, gdy w bezruchu mierzą do upatrzonej ryby. A potrafią mierzyć skutecznie. Pięćdziesięcioletni Albinus, wytrzymując cierpliwie nasze towarzystwo pod wodą, w ciągu półtoragodzinnego polowania wyciąga z morza porcję ryb na okazały obiad. W czasach coraz powszechniejszych w Indonezji polowań na rafie z użyciem materiałów wybuchowych, metoda łowiecka z Palue wydaje się szlachetna i piękna.

Tego dnia, w którym opuszczamy wyspę, Albinus nieoczekiwanie zjawia się, by nas pożegnać. Bez słowa, bo przecież i tak się nie zrozumimy, wręcza nam małą papaję. Wychodzenie tego owocu na suchą jak pieprz wyspę wymagało dużo zachodu, prezent nabiera więc dodatkowej, symbolicznej wartości. Jest namacalnym, a na dodatek smacznym dowodem, że życie w skrajnie trudnych warunkach wyzwala ludzką serdeczność. ○



Finnlines

a Grimaldi Group company

Finnlines Polska Sp. z o.o.
Al. Solidarności 1C
81-336 Gdynia

Serwis promowy:
Gdynia -> Helsinki - 21h
Gdynia -> Rostock - 15h
3 odejścia w tygodniu



**Dodatkowe informacje
dla pasażerów:**
Gdynia, ul. Polska 1
passenger.pl@finnlines.com
tel. +48 58 627 4167, 4177



Ładunki:
- naczepy,
- samochody ciężarowe,
- ładunki ponadgabarytowe,
- drobnica,
- kontenery



www.finnlines.com

Marketing: sales.pl@finnlines.com
Bukowanie: customer.service.pl@finnlines.com



Tomasz Michniewicz

KRWAWY BIZNES



W Afryce pieniądze biegają na czterech łapach. Za zabłą zebłą na czarnym rynku płaci się tyśiąć dolarów. Za lwa – dwadzieścia tyśiący. A za nosorożca – nawet pół miliona. Z dala od telewizyjnych kamer trwa prawdziwa wojna o dziką przyrodę.



FOT. TOMASZ MCHENWICZ



niezwe zambijskiej czy zimbabweńskiej armii. Mają karabiny snajperskie i kałasznikowy, helikoptery, noktowizory i granaty. I nie cofają się przed niczym. Jeśli na drodze stanie im przypadkowy człowiek, zastrzelą go bez chwili zastanowienia. Jeśli w pobliżu pojawi się patrol rangerów, strażników dzikiej przyrody, dojdzie do regularnego starcia dwóch wojskowych oddziałów, które strzelają, żeby zabić. Wszystko z powodu rogu nosorożca.

– Nazywamy to „wojną o nosorożce” – mówi Reilly Travers, szef ochrony rezerwatu Imire w Zimbabwe. – *Strzelamy, bronimy się, ginimy. Codziennie wyjeżdżamy na patrol i nigdy nie wiem, czy z niego wrócę. Takie mam życie.* Reilly Travers zarabia 90 dolarów miesięcznie.

Kłusownicy kojarzą nam się z leśnymi dziadkami w zielonych kurteczkach, rozkładającymi po cichu wnyki na zające. Ci, którzy w Afryce polują na nosorożce, to inna bajka. To wyspecjalizowani najemnicy, często żoł-

RÓG OBFITOŚCI

Chińczycy wierzą – wbrew nauce – że róg nosorożca to cudowne panaceum na wszystko. Ma wzmacniać potencję, odganiać złe duchy, leczyć raka i bezpłodność oraz dodawać sił życiowych. Zbadało to już wiele instytucji naukowych, w tym kilka chińskich. Wszystkie wyniki – identyczne. Efektów leczniczych brak, róg to zwykła keratyna, jak nasze paznokcie czy włosy.



OCHRONIĆ STRAŻNIKA

W Imire bezpieczeństwo nosorożcom zapewnia ochrona uzbrojonego opiekuna. Towarzyszy on każdej grupie zwierząt przez całą dobę. Z reguły to on podąża za nimi...

Chińskie wierzenia wyrastają jednak z tysięcy lat tradycji, a tej nie da się zmienić jednym badaniem, a tym bardziej dekretem zakazującym handlu sproszkowanym rogiem. W podziemiu działa więc międzynarodowy biznes, kontrolowany przez mafię. W Afryce zabija się zwierzęta i załatwia fałszowane pozwolenia na wywóz, w Bangkoku w Tajlandii podmienia się papiery, a do Chin i Wietnamu (czyli na dwa największe rynki) róg nosorożca trafia jako popiół drzewny albo nawozy sztuczne.

Za kilogram rogu nosorożca płaci się na czarnym rynku 60 tys. dolarów – o połowę więcej niż za złoto czy kokainę. Najcenniejszym towarem wywożonym z Afryki nie są wcale diamenty, a nic nie warta keratyna rogu. A że w Afryce dolary mają zdecydowanie większą wartość niż w Pekinie czy Paryżu, lokalni „podwykonawcy” nie przebiegają w środkach.

OCALONY Z MASAKRY

W rezerwacie Imire prowadzi się program rozrodu czarnych nosorożców – trudny i żmudny. Więcej w nim porażek niż sukcesów. Cztery lata temu na teren rezerwatu w nocy wkroczył czteroosobowy oddział wojskowych najemników. Zwiążali i pobili pracowników ośrodka.

ARKA NOEGO

Dom Traversów, w którym dorastał nosorożec Tatende. Oprócz niego mieszkały w środku też hieny, guźce, zebry, żyrafy i antylopy.



JEJ WYSOKOŚĆ

Jedynymi drapieżnikami, które naprawdę mogą zagrozić dorosłym żyrafom są lwy i ludzie.



FOT. TOMASZ WICHIŃSKI

ka, niektórych poważnie okaleczyli, a potem z zimną krwią wymordowali wszystkie nosorożce przebywające w specjalnych zagrodach. W jednym z ciał znaleziono 37 kul z AK-47, karabinu Kałasznikowa. Łupem bandytów padł zaledwie kilogram rogu. To im wystarczyło. Z masakry sprzed czterech lat uratował się tylko jeden mały wówczas nosorożec, Tatende. Przetrwał zagrzebany w sianie, kłusownicy po prostu nie zauważyli go po ciemku. Rodzina Traversów, prowadząca rezerwat, przez następne miesiące miała jeden cel: Tatende musi przeżyć.

Mały, zaledwie pięćdziesięcikilogramowy nosorożec został zabrany do ich pięknego domu w środku rezerwatu, spał z Traversami w jednym łóżku, był okrywany kocykiem i karmiony z butelki. Powoli dochodził do siebie i rósł jak na drożdżach. W końcu, gdy wbiegł na werandę i zapadły się pod nim deski, Traversowie uznali, że najwyższa pora, by Tatende wrócił do buszu. Dziś nosorożec biega wolno po terenie rezerwatu wraz ze swoją małżonką Shanu. Traversowie są jedynymi ludźmi, którzy mogą się do niego zbliżyć. Innym na to nie pozwala – nosorożce nie zapominają krzywdy.

POŻEGNANIE Z AFRYKĄ

To są bardzo „ludzkie” zwierzęta. Żakochują się, gniewają, obrażają, czasem są zazdrosne, a czasem się przepraszają. Łączą się w pary, spędzają razem mnóstwo czasu, mają swoje gry i zabawy. Gruboskórność i ociężałość to tylko pozory. Nosorożce czują każdego komara siadającego im na plecach, lubią drapać się o krzaki i tarzać w błocie, które chroni przed słońcem. Ich pyski to najzabawniejsza rzecz na świecie, zwłaszcza gdy próbują objeść coś, co kształtem nie do końca pasuje do ich anatomii. A gdy się rozzłoszczą, prują jak samochód terenowy, pięćdziesiąt na godzinę.

Nosorożce w bliskim kontakcie są tak wdzięczne, że ciężko uwierzyć, iż ktoś mógłby do nich strzelać z zimną krwią. Tymczasem kolejne raporty międzynarodowych organizacji chroniących zwierzęta są przygnębiające. W Afryce Zachodniej w ubiegłym roku zastrzelono ostatniego (!) nosorożca. W samej RPA przez rok zginęło ponad 400 sztuk. Czarnych nosorożców biega po świecie już



tylko 4 tysiące. Eksperci prognozują, że za dziesięć lat nie będzie żadnego. Te zwierzęta dołączą do tarpanów i dinozaurów – będziemy je mogli oglądać na rysunkach i w filmach Stevena Spielberga.

OSTATNIA LINIA OBRONY

Tacy ludzie jak Traversowie to ostatnia przeszkoda przed chciwością bandytów. Narażają życie, bo mają świadomość, że jeśli się poddadzą, wszystkie zwierzęta, nie tylko nosorożce, zostaną zabite. Wokół Imire jeszcze dziesięć lat temu kwitło życie, a farmy produkowały żywność. Prezydent Mugabe wysiedlił jednych farmerów, innych wymordował, zaś tereny w całej prowincji rozparcelował między tzw. weteranów, swoich zaufanych przybocznych z armii. Nowi przybysze nie mieli ochoty sadzić kukurydzy i paść krów. W krótkim czasie dzikie zwierzęta – żyrafy, zebry, antylopy czy słonie – zostały wybite.

Rezerwat Imire pozostawiony jest sam sobie – utrzymuje się z odwiedzin nielicznych turystów, którzy docierają do niego pokonawszy 60 km nędznej drogi przez busz. Produkuje żywność na własne potrzeby i zatrudnia ponad sto osób. Chroni nosorożce, słonie, stada antylop, zebra i żyraf. Od rządu otrzymuje tylko... amunicję.

PODOPIECZNI JUDY

Judy Travers jest sercem całego rezerwatu. Dla niej zwierzęta są tak samo ważne jak rodzina.





FOT. ARCHIWUM TOMASZA MICHEWICZA

PRZYJACIEL MOICH PRZYJACIÓŁ

Nosorożce mają wiele ludzkich cech. Pamiętają o wrogach, nie zapominają przyjaciół. Judy może je karmić z ręki, ja – korzystam z protekcji.

Tymczasem kłusownicy są dobrze zaopatrzeni, uzbrojeni, dofinansowani i mają potężnych mocodawców. Ci odpowiednio wypchaną kopertą uwalniają swoich ludzi z więzienia, umarzają sprawy sądowe, załatwiają lewe certyfikaty przewozu, które zmieniają róg nosorożca w kość bawoła.

Obrona nosorożców jest prawie niemożliwa. Najlepsze co wymyślono, to obcinanie rogów pod kontrolą weterynarza, żeby zmniejszyć wartość rynkową zwierzęcia. Kłusowników to nie powstrzymuje, wytopionego nosorożca bez rogu zabijają i tak – następnym razem nie tracą czasu na śledzenie tego „bezwartościowego” okazu. Co jakiś czas w Azji robi się głośno o zatruciach cyjankiem potasu. Podobno gdzieś na afrykańskiej sawannie radykalni ekolodzy nawiercają rogi uspijonych nosorożców i wpuszczają w otwory cyjanek. Później gotowy „produkt” zabija konsumentów. Nikt nie wie, czy to prawda, czy tylko rozsiewana plotka.

Jedyną nadzieją dla tych zwierzaków są takie miejsca jak Imire, i skuteczna ich ochrona.

NAPRAWIĆ KAWAŁEK ŚWIATA

Historię Imire poznałem, zbierając materiały do książki „Gorączka. W świecie poszukiwaczy skarbów”. Po tym, co tam zobaczyłem, zmieniłem cały plan podróży. Zamiast do kopalni złota w Mozambiku i na diamentowe plaże w Namibii, ruszyłem śladem kłusow-

ników. Nie byłem w stanie znieść poczucia bezsilności, którego doświadczałem, słuchając każdej kolejnej strasznej historii. Za afrykańskimi uśmiechami kryły się przerażające, smutne opowieści, a wiele z nich brało się z bestialstwa kłusowników.

Jeszcze w Afryce udało mi się namierzyć i rozbić zambijsko-kongijski gang obracający kością słoniową. To było głupie i ryzykowne, ale dało mi poczucie, że coś da się jednak zrobić (o tym też możecie przeczytać w książce – przyp. red.). Po powrocie do Polski zrobiłem więc obowiązkową rundę po ministerstwach i wyszedłem z naręczem pozwoleń na przeprowadzenie zbiórki na rzecz Imire. Tym ludziom musimy pomóc, bez nas przegrają swoją wojnę, a wraz z nimi znikną ostatnie dzikie zwierzęta w całej prowincji. Od lipca nieustająco pracuję nad tym, żeby w Imire pojawił się odpowiedni system wczesnego ostrzegania; żeby nosorożce miały transmitters GPS i żeby zbudować solidne ogrodzenie w miejsce płotu z żerdzi. Jestem w ciągłym kontakcie z Traversami, którzy nie mogą uwierzyć, że gdzieś, w dalekiej Polsce, są ludzie gotowi poświęcić własny czas i pieniądze, żeby im pomóc. Zrobmy coś, naprawmy kawałek świata!

A my tymczasem już kupiliśmy transmittersy i właśnie pracujemy nad systemem monitoringu. ○

więcej o akcji ratowania nosorożców na:
www.tomekmichniewicz.pl

- **Lubisz podróżować?**
- **Ciekawi cię świat?**
- **Chciałbyś swoimi przeżyciami podzielić się z innymi?**
- **Najlepiej to zrobisz przedstawiając to na fotografiach. Pomożemy wybrać odpowiedni sprzęt i podpowiemy jak wykonać dobre zdjęcia. Pokażemy również, jak wykonują to mistrzowie fotografii.**
- **Swoje zdjęcia zaprezentuj w galerii internetowej na www.foto-kurier.pl/galerie**
- **Najlepsze prace nagradzamy!**



POZNAJ ŚWIAT RAJDÓW PRZYGODOWYCH

Rafał Adametz,
Piotr Łopuchin

„Adventure racing” – „AR”, znane także jako „expedition racing”, to po polsku „rajd przygodowy” lub „ekstremalny multidyscyplinarny hiperytrzymałościowy rajd na orientację”. Łączy on odkrywanie ciekawych

zakątków świata z elementami rywalizacji znanymi z triathlonu, ultramaratonu i biegu górskiego. Pozwala poznawać i pokonywać granice własnych możliwości.

Startują w nim drużyny, dwu- lub

czteruosobowe o składzie mieszanym, którym nie wolno się rozdzielać od startu do mety. Ich efektywność zależy od współpracy i podziału ról. Funkcje kapitana i nawigatora pełnią najbardziej doświadczeni zawodnicy.

Trzon rajdu stanowią dyscypliny wytrzymałościowe, umożliwiające poruszanie się w trudnym terenie: marsz lub bieg, jazda na rowerze, pływanie kajakiem lub canoe. W zależności od rejonu dochodzą do tego elementy alpinizmu: wspinaczka, mosty linowe, zjazdy lub podchodzenie po linie. Uzupełnieniem bywa: paralotniarstwo, pływanie, jazda konno lub na wielbłądzie, żeglarstwo, rolki, rafting, kanioning lub nurkowanie. Organizatorzy często dodają do tego dyscypliny niespodzianki, według własnego uznania.

Rajdy przygodowe łączy samodzielna nawigacja przy użyciu mapy i kompasu. Każda drużyna wybiera trasę w terenie na podstawie zaznaczonych na mapie punktów kontrolnych, których położenie zawodnicy poznają dopiero na stracie.



FOT. PIOTR ŁOPUCHIN

Uczestnicy sami transportują swój podstawowy sprzęt i zaopatrzenie od startu do mety i nie mogą korzystać z motorowych środków transportu ani żadnej pomocy z zewnątrz. Dozwolone jest pomaganie i korzystanie z pomocy innych drużyn.

Navigatoria Adventure Race 2012

Rosnąca wciąż aglomeracja trójmiejska rzadko kojarzy się ludziom z innych rejonów Polski z eksploracją i przygodą na łonie natury. Jednak już po raz trzeci z centrum Sopotu wystartuje Navigatoria Adventure Race.

Organizatorem jest zespół Navigatoria, który startuje w AR od ponad trzech lat, ostatnio także za granicą. W 2010 r., razem z Sopotkim Oddziałem PTTK, zorganizował zawody, których trasa w całości przebiegała po terenie Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. W 2011 r. nastąpił skok ilościowy i jakościowy. Na dwie trasy: 150 km i 60 km przyjechali zawodnicy z różnych stron Polski. Niemal 100 osób ścigało się na rowerach, biegiem, na rolkach oraz podczas wi-



FOT. POTR LOPUCHIN

dowiskowego etapu kajakarskiego – wszystko w okolicach Trójmiasta.

Mamy nadzieję, że trzecia edycja rajdu zaspokoi głód przygody u najbardziej wymagających, prowadząc uczestników przez najciekawsze zakątki Półwyspu Helskiego i Pobrzeża Kaszubskiego.

Chcemy pokazać z innej, alternatywnej strony, kurort wypoczynkowy i imprezowe centrum Trójmiasta. Sopot, który po raz kolejny będzie gospodarzem rajdu, to także urokliwe podwórka, malownicze wieżyczki oraz plaża i bliskość lasu.

Trasa masters – zaplanowana na około 200 km – przeznaczona jest dla doświadczonych zawodników. Trasa speed, licząca około 70 kilometrów, na której również nie zabraknie mocnych wrażeń, jest przeznaczona dla wszystkich, którzy choć trochę trenują i nie boją się wyzwania.

Tych, którzy chcą poznać ten rejon w zupełnie nowy sposób i z przyspieszonym biciem serca poczuć morski klimat, zapraszamy na Navigatoria Adventure Race 2012!



FOT. POTR LOPUCHIN



FOT. POTR LOPUCHIN



FOT. ARCHIWUM AUTORKI

Marta Kołodziejczak

MEKSYK

W KOLBUDACH

Poznałyśmy się, stojąc w kolejce w urzędzie. Drobna, z nieokiełznanymi lokami i ogromnymi brązowymi oczami – od razu wiedziałam, że mogę zagaić po hiszpańsku. Na pytanie co robi w Polsce, skromnie odpowiedziała – mieszkam. Gdyby nie moje wścibskie pytania, nie dowiedziałabym się, że Susana jest solistką operową.

Pokazuje mi swoją koncertową suknię. Rozłożyła, do ziemi, a na jej czarnym tle duże, ręcznie wyszywane kwiaty w kolorach złota, czerwieni, fioletu i innych barw Meksyku. Suknia pochodzi z Chapas, a tam kultura Majów przeplata się z hiszpańską, tworząc baśniowe obrządki i pejzaże. Kolorowe targi, wyszywane tradycyjne stroje, kolonialna architektura. Taki świat ciągnie się u podnóży gór: gęste zabudowania wokół jednego samotnego wzniesienia, potem długie schody aż do szczytu, a na wierzchołku kościół i wydaje się, że tak jest bez końca.

– *Jak to się stało, że zamieszkałaś w Polsce?*

– *Przyjechałam na koncert. Jednak decyzję o pozostaniu podjęłam nagle, już po przyjeździe. A powodem był Chopin. Zawsze słuchałam jego muzyki i pomyślałam, że przecież niejedynemu artyście chciałoby poznać kraj mistrza! A mnie spotkała taka szansa.*

Wszystkim powtarzam, że do Polski trzeba przyjechać co najmniej cztery razy, o każdej porze roku, bo wtedy te same miejsca są zupełnie inne. Tutaj zaczęłam moje małe podróże. Na obrzeżach Gdańska są miejsca, które regularnie odwiedzam. Wokół lasy, rzeka, jeziora i pagórki. Jednym z nich

są okolice Kolbud. Próbowałam tam już chyba wszystkiego, jak prawdziwa turystka!

Zazwyczaj do nowych miejsc prowadziły mnie koncerty. Tym razem stało się na odwrót. Niedługo zaśpiewam podczas Festiwalu Refermata. Do miejsc moich spacerów co roku zjeżdżają się muzycy najwyższego formatu, aby w nietypowych sceneriach rozbrzmiewała muzyka klasyczna. Jeden z dotychczasowych koncertów odbył się na kolbudzkim jeziorze, a muzycy podrywali do specjalnie zbudowanej platformy łódkami. W tym roku zamiast na spacer wybiorę się tam, aby zaśpiewać, właśnie dla tych chodzących na spacer. Znów będę mogła śpiewem przedstawić kulturę mojego kraju i poruszyć polską publiczność, w pieśniach meksykańskich, a także kubańskich i hiszpańskich.

Koncert Susany Mijangos (sopran) i Piotra Słopeckiego (fortepian) „Dotyk pasji” odbędzie się już 13 maja w Lubliwie. W ramach Festiwalu Refermata Kolbudy 2012 będzie również można posłuchać następujących koncertów:

- „Melodie słowiańskiej duszy” w wykonaniu Dominiki Glapiak (fortepian) oraz Eduarda Bayer (skrzypce),
- „Prawie francuski powiew jazzu” w wykonaniu Almost Jazz Group: Ignacy Jan Wiśniewski (fortepian), Paweł Nowak (akordeon), Tomasz Nowik (gitara basowa, kontrabas), Roman Ślebarski (perkusja),
- „Dookoła świata w jeden wieczór”, czyli koncert finałowy, który będzie niespodzianką przygotowaną przez artystów festiwalu.



FOT. BARBARA ZAŁĄCZKIEWICZ

Zostań Mistrzem AUTOSTOPU!

Już po raz piętnasty miłośnicy „podróży za jeden uśmiech” będą mieli okazję uczestniczyć w mistrzostwach autostopowych. Poznawanie w ten nietypowy sposób krajów ma za zadanie przybliżyć uczestnikom rajdu walory turystyczne, historię, a także kulturę poszczególnych państw i narodów. Zawody umożliwiają też integrację środowiska podróżniczego. Impreza, która odbywać się będzie w długi majowy weekend (28 kwietnia – 2 maja) skierowana jest głównie do młodzieży akademickiej, choć uczestnikami mistrzostw często bywają ludzie, którzy taki status posiadali kilka, a niekiedy kilkanaście lat temu. Tegoroczna trasa, Trójmiasto – Dubrownik, została poprowadzona tak, by promować polskie miasta – gospodarzy Euro 2012.

www.mistrzostwaautostopowe.pl



“Pokaż wreszcie, co masz w mieście”

To konkurs organizowany przez dynamicznie rozwijający się portal społecznościowy placeknow.com – nowoczesny projekt internetowy o globalnym zasięgu. Celem, który przyświecał twórcom placeknow.com, jest zbieranie zdjęć i informacji od użytkowników w celu prezentacji interesujących i fascynujących miejsc na świecie, widzianych okiem mieszkańców, turystów czy podróżników. Konkurs

jest skierowany do władz miejskich, organizacji turystycznych oraz mieszkańców. Uczestnicy, poprzez dodawanie zdjęć swojego miasta, przyczynią się do jego popularyzacji, jednocześnie zwiększając szansę miasta na zwycięstwo w konkursie. Na zwycięzców i uczestników czekają nagrody.

Konkurs trwać będzie od 2 kwietnia do 31 maja 2012 r.

Na szklanym szlaku

Drugiego czerwca pojawi się nowa atrakcja turystyczna. Swoje podwoje otworzy dla zwiedzających Centrum Dziedzictwa Szkła w Krośnie. Krośnieńskie szkło to od niemal 90 lat synonim najwyższej klasy i kunsztu designerskiego. Centrum Dziedzictwa Szkła będzie pierwszym w Polsce obiektem turystycznym w nowoczesny



sposób prezentującym tematykę jego produkcji. Głównymi atrakcjami Centrum będą: możliwość podziwiania dzieł sztuki wykonanych ze szkła, oglądanie na żywo jego produkcji i udział w warsztatach.

Największym atutem obiektu będzie fakt, że stanowić ma on serce kompleksowej oferty turystycznej Krosna. Zakupio-

ny w Centrum bilet upoważni do wstępu nie tylko do jednego obiektu, ale do kilku atrakcji turystycznych, wspólnie tworzących szklany szlak miasta. Kolejnymi przystankami będą piwnice przedprożne przy krośnieńskim Rynku, ekspozycja pt. „Szkło podkarpackich hut” w Muzeum Podkarpackim w Krośnie oraz wybrane zakłady prowadzące produkcję szkła, w których zobaczyć będzie można pracę hutników, projektantów i artystów. Bilet upoważniał będzie także do zniżek w wybranych lokalach gastronomicznych. W przyszłości planowane jest rozszerzenie oferty m.in. o atrakcje związane z historią miasta oraz drugą ważną gałęzią przemysłu w regionie – górnictwem nafty i gazu.

Otwarcie Centrum odbędzie się 2 czerwca 2012 r. na krośnieńskim Rynku.

Więcej informacji o Centrum znaleźć można na oficjalnej stronie internetowej placówki – www.miastoszklapl.



INNOWACYJNA
GOSPODARKA
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka



Najbardziej kochana mama na świecie!

„Mówić, że ma się za dużo dzieci, to jak mówić, że ma się za dużo kwiatów!” Oto motto Michelle Duggar, kobiety, która urodziła i wychowuje dwadzieścioro dzieci. Najliczniejsza rodzina na świecie mieszka w stanie Arkansas, ma swój program telewizyjny, a rodzice regularnie wydają książki ze wskazówkami, jak wychować tak liczne potomstwo i cieszyć się życiem. Dzień Matki jest w ich domu z pewnością dniem bardzo radosnym i hucznie obchodzonym.

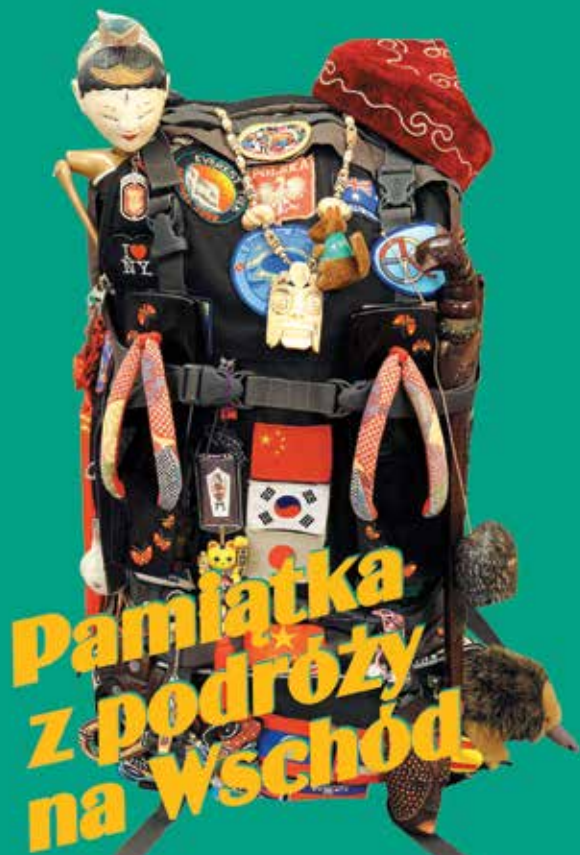
PAMIĄTKA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

Od końca lutego w Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie zwiędzać można nietypową ekspozycję „PAMIĄTKA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD”. Jak piszą organizatorzy: „Wystawa jest inna niż te, do których przywykliśmy – my i nasza publiczność. To trochę happening, odwołujący się do osobistych wspomnień i emocji. Punktem wyjścia były rozmaite pa-

miątki, jakie kryją się w magazynach wielu muzeów świata. Zaproiliśmy do współpracy grupę współczesnych podróżników, którzy użyczyli nam nie tylko przedmiotów ze swoich kolekcji, ale i towarzyszących im opowieści. Rezultatem tego eksperymentu jest zbiór, który nas samych po części zaskoczył, po części oczarował, a także wzruszył.”

Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie



Pamiątka z podróży na Wschód

GALERIA AZJATYCKA, ul. Freta 5, Warszawa
25 lutego – 19 maja 2012



W pierwszym miesiącu wystawę „PAMIĄTKA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD” odwiedziło ponad tysiąc osób. Jej zakończenie planowane jest podczas Nocy Muzeów, 19 maja. Od godziny 19.30 (co godzinę) po wystawie oprowadzać będą komisarze Joanna Wasilewska i Tomasz Madej.

Natomiast przed Galerią Azjatycką odbędą się pokazy tańców: tradycyjnych czeczeńskich w wykonaniu zespołu dzieci uchodźców z Czeczenii – zespół „Nochci’o”, perskich w wykonaniu Aleksandry „Apsary” Kilczewskiej oraz zespół hula – tańców z wysp hawajskich – w wykonaniu tancerzy z grupy Uakoko.

www.muzeumazji.pl,
www.muzeumazji.blogspot.com

CinQuanta 54 Quattro



 **DOLOMITE**
Italian Outdoor Since 1897

Podróż w stronę legend.

Jazda Vespą albo sławnym Topolino. Pierwsze niebieskie jeansy, norweskie swetry i amerykański styl. Charyzma Marlona Brando, legenda Marylin Monroe i pierwsze odbiorniki telewizyjne.

Fantastyczny klimat lat pięćdziesiątych XX wieku powraca z nową linią Dolomite 54.

Zainspirowane wyprawami Lino Lacidelliego i Achille Compagniego, którzy zdobyli K2, pierwszy raz w długiej historii marki Dolomite powstały buty serii 54, łączące technologię i komfort z feerią barw w stylu retro.



Dolomite Cinquantaquattro Low



Dolomite Cinquantaquattro High Suede

wykończenie: zamsz 1,4-1,5 mm
wyściółka: siateczka
śródpodszewa: anatomiczna o różnej grubości
podeszwa: Dolomite vibram
zamknięcie: klasyczne ze sznurowaniem
rozmiary: 3-12,5

Kilkanaście tysięcy kilometrów w zamieciach, mrozach, chaosie zaśnieżonych gór; w zamęcie lodowych spiętrzeń i ciemności polarnej nocy; w potwornie zimnej wodzie i śnieżnej kaszy; po gołedzi, nagich kamieniach, poprzez zaspy kopnego śniegu – oto ogólny bilans naszej wyprawy. Wyprawy, której cel był tak blisko...

Romuald Koperski

NIEDOKOŃCZONA WYPRAWA SKOŃCZONA TRYLOGIA





Ogarnia mnie zmęczenie. Czuję każdą część ciała – boli jak połamane. Chciałbym się wyciągnąć w śnieżnej pościeli, leżeć i nie poruszyć nawet palcem. Ale nerwy są jeszcze napięte. To pomaga walczyć ze zmęczeniem. Zachować zdolność analizy tego, co zaszło w ciągu ostatnich dni.

Dzisiaj posunęliśmy się zaledwie o dwanaście kilometrów. Kilkanaście przypadkowych,

szczególnie trudnych kilometrów, których nie sposób przewidzieć na żadnym etapie planowania wyprawy. Właśnie tych przypadkowych odcinków najbardziej bałem się przed wyruszeniem w trasę, bardziej niż burz czy zamieci. Tutaj każdy metr w jednej chwili mógł przerwać jazdę po wytyczonym wcześniej szlaku. Przerwać ostatecznie. Jesteśmy bezradni, ale nie mamy do niczego ani do nikogo pretensji. Świadomie wybraliśmy to wielkie ryzyko, zgadzając się walczyć o każdy metr drogi, o każdą minutę czasu i, jak by nie patrzeć, do dziś wygrywaliśmy tę bitwę...

Trzy miesiące temu wyruszyliśmy z leżącego w Portugalii przylądka Cabo da Roca, najbardziej wysuniętego na zachód punktu Eurazji. I teraz właśnie stoimy niemal na przeciwległym krańcu tego kontynentu. Czerwone linie na mapie zaznaczają naszą wędrówkę. Obrysowują góry, wiodą po rzekach, przecinają jeziora. Czasami tworzą gęstą sieć w miejscach, gdzie błędziliśmy lub poszukiwaliśmy



PIERWSZY ŚLAD

Do celu wyprawy nie prowadziła żadna droga.

dogodnego miejsca do skoku przez kolejną przełęcz. Te linie i punkty to nie tylko ślady naszych opon, ale także „odciski” bólu i zwątpienia, zimna, a nawet głodu.

POD WIATR I ZAMIEĆ, PRZEZ LÓD I ŚNIEG

Leżąc, staramy się wydobyć lód spod samochodu. Kujemy łopatami i siekierą, ale to zdaje się być niewykonalne. Znam moich współtowarzyszy, wiem, że będą walczyli dopóki nie opadną z sił. Nikt i nic nie zdoła ich przekonać o jałowości wysiłku. Stanowimy zgrany team i jest pewne, że nikt z nas tak łatwo nie pogodzi się z sytuacją. To nie leży w naszych charakterach. Co jakiś czas, zziębnięci do granic wytrzymałości, chronimy się w ciepłe samochodu. Po krótkim odpoczynku i wypiciu dobrze osłodzonej herbaty wznawiamy walkę ze wściekłą śnieżycą i wichrem.

Będzie noc, kiedy wreszcie wydostaniemy się z kolejnej – tej doby – pułapki. Nasz plan dotarcia do Przylądka Dieżniewa, od którego dzieli nas już niespełna trzysta kilometrów, trzeszczy w szwach. Gruby zlodowaciały śnieg i ukryte pod nim wgłębienia terenu okazują się dla samochodu przeszkodą nie do pokona-

nia. Nie dajemy jednak za wygraną. Znowędziemy. Pod każdym śnieżnym garbem widzē zdradliwie ukryte zapadlisko, lodową paszczę, mającą pochłonąć nasz pojazd razem z nami. To już jakaś psychoza. Odnoszę wrażenie, że znaleźliśmy się w najgorszym miejscu na naszej planecie...

Dziś dla odmiany niebo jest bezchmurne, świeci słońce, panuje zupełna cisza. Mimo to trzydziestostopniowy mróz przenika do szpiku kości. Parzy w twarz, chwytą za ręce, gdy zdejmie się rękawice. Pierwsze zawsze mar-

BIEGUN ZIMNA

Temperatury poniżej pięćdziesięciu stopni sprawiają, że domy Jakucji wyglądają, jak z lukrowanego piernika.





FOT. ROMUALD KOTERBA

ZIMNY WYCHÓW

Krioterapia to na Syberii najbardziej naturalna metoda leczenia. Czucze stosują ją od tysięcy lat.

zną opuszki palców. Najpierw są czerwone, jakby dotknęły rozżarzonego żelaza. Po kilku minutach bledną i wtedy zaczynają naprawdę boleć. Schowane ponownie palce przez długi czas są sztywne i trudno w nich utrzymać jakiegokolwiek przedmioty. Obramowania kapturów i czapek pokrywają się szronem, który osiada też na rzęsach i brwiach. Ale pokusa, by kontynuować jazdę do celu, jest silniejsza od zdrowego rozsądku. Kolejne dwa, czasami trzy kilometry męczącej drogi, i dwie – w najlepszym przypadku – godziny kopania śniegu.

Dociera do mnie, że od kilku dni nie jedziemy, tylko przebijamy się do przodu, więc sytuacja powoli wymyka się spod kontroli. Czujemy, że przegrywamy z syberyjską zimą. Wkoło bez przerwy lód, śnieg, wiatr i zamieć – poza tym nic. Morale także nie najlepsze. Kiedy nikt już nic nie mówi, to sygnał, że nadchodzi ten moment. Czas, aby podjąć najtrudniejszą decyzję. Koniec! Dalej się nie da! Potem jeszcze uporczywe pytania – co my tutaj robimy? I co nas tutaj przywiodło?

TRASĄ SPRZED STU LAT

Wyprawę na krańce mroźnego świata nazwałem szumnie Ekspedycją Stulecia. Nie kierował mną jednak snobizm, który podpowiadałby, że właśnie ta wyprawa ma w sobie coś tak szczególnego, że tylko to określenie do niej pasuje. W minionym wieku odbyło się przecież wiele innych ekspedycji, które na to miano naprawdę zasłużyły. Więc dlaczego? Skąd ten pomysł? To pewien skrót myślowy odnoszący się do wielkiego wydarzenia sprzed stu lat. Był nim wyścig samochodowy na trasie z Nowego Yorku do Paryża, rozegrany w 1908 roku, a więc dokładnie sto lat przed naszą wyprawą. Czysty przypadek sprawił, że czytając publikacje o dalekiej północy, trafiłem na historię sprzed wieku i ku swej ucieście odkryłem, że z tamtego okresu pozostała wytyczona przez uczestników, lecz nie pokonana, trasa. Trasa wiodąca przez północne rejony Syberii.

Od pierwszej chwili stało się to dla mnie wyzwaniem! W setną rocznicę tamtego rajdu postanowiłem zorganizować podobny wyścig,

tylę że w przeciwną stronę. Z powodu braku chętnych nie doszedł on do skutku. Ale w pojedynkę – jedynym pojazdem, czemu nie! Wyruszyliśmy więc sami, trasą wytyczoną przed stu laty. Marian Pilorz, Viktor Makarovskiy i ja. Było rzeczą zrozumiałą, że na wyprawę zaprosiłem ludzi nietuzinkowych – silnych, odważnych, rzecz można wyjątkowych pod każdym względem...

PÓKI STARCZY ZIMY

Kiedy jechaliśmy na wschód, mieszkańcy Syberii patrzyli na nas z wielkim szacunkiem. Nikt lepiej od nich nie rozumiał, na co się porwaliśmy. Byli, jak zwykle, bardzo przyjaźni. To wielcy ludzie. Wiodą niewyobrażalnie trudne życie, ale ich życzliwość i otwartość na drugiego człowieka jest wyjątkowa. Zrobią wszystko, aby pomóc. Nigdy nie odmówią gościny i jedzenia, nawet jeśli przyjdzie dzielić się wszystkim, co posiadają. Wiedzą bowiem, że bez wsparcia, które sobie nawzajem ofiarowują, nie przetrwaliby. „Muszę pomóc drugiemu człowiekowi, bo jutro on pomoże mnie” – taka obowiązuje tam zasada. Syberia uczy pokory i wiary w drugiego człowieka. Myślę, że jest się czego uczyć od jej mieszkańców.

Bez ich pomocy nie powiodłaby się również i nasza wyprawa. Uważnie słuchaliśmy ich rad, ocieplając samochód przed wyjazdem w najzimniejsze regiony. Od nich uczyliśmy się, jak jeździć po lodowych autostradach, i jak pokonywać śnieżne zaspę. Na swoje szczęście nie byliśmy zadufanymi tumanami, którzy mają trochę pieniędzy, przyjechali z Europy

i wszystko wiedzą lepiej. Z pokorą przyjmowaliśmy ich rady i wskazówki. Nam, mieszkańcom Europy, nie sposób wyobrazić sobie tych ekstremalnych, kilkudziesięciostopniowych mrozów. Przy najsilniejszych, sześćdziesięciostopniowych każde wyjście z samochodu, nawet przejście z kabiny do części mieszkalnej, stawało się wyprawą. W trakcie jednej z takich „eskapad” od mrozu pękły mi buty. Zamontowany na naszym samochodzie termometr kupiony w Polsce zepsuł się, bo miał skalę tylko do minus pięćdziesięciu stopni...



Gdy osiągnęliśmy sto osiemdziesiąty stopień długości geograficznej wschodniej, wiedzieliśmy, że pokonaliśmy wszystkie podejmowane dotychczas wyprawy w tym kierunku. Także te o wielkich budżetach i wielu uczestniczących pojazdach, z asekuracją helikopterów włącznie. Zamierzaliśmy jednak dotrzeć do samej Cieśniny Beringa, aby udowodnić,

**NAPRZÓD! ZANIM
ZAWRÓCIMY**

**Nad Morzem Beringa,
w pobliżu Zatoki
Świętego Krzyża.**





FOT. ROMUALD KOPEJSKI

MAN VS RENIFER

I Czukczka i my byliśmy zależni. On od swojego renifera – my od koni mechanicznych.

że można tego dokonać przedzierając się przez Syberię samotnym pojazdem. Kiedy do celu wyprawy pozostało nieco ponad dwieście kilometrów, zdecydowaliśmy, że trzeba wracać. Mogliśmy co prawda na siłę dotrzeć do Ciesniny, przekopując się przez zwały śniegu, ale wtedy zabrakłoby nam zimy, aby powrócić do

cywilizacji po zamrzniętych jeszcze bagnach, jeziorach i rzekach. Gdyby zaskoczyły nas roztopoty, utknęlibyśmy na Syberii na dobre, może na zawsze.

ODWRÓT W SŁOŃCU

Nasza wyprawa w stu procentach uzależniona była od warunków atmosferycznych. Przebijaliśmy się przez wichury i śnieżycy, dosłownie wykopując sobie drogę przez ogromne zaspę. Któregoś dnia potrzebowaliśmy pięciu godzin, by pokonać piętnaście kilometrów. Innym razem, przy temperaturze minus pięćdziesięciu stopni i śnieżycach, przez cały tydzień pokonaliśmy raptem dwieście siedemdziesiąt kilometrów. Zawsze jednak dopisywało nam niesamowite szczęście. Pomimo iż nasza wyprawa trafiła na zimę stulecia, wychodziliśmy cało z różnych opresji. W Jakucji przez dziesięć dni towarzyszyła nam temperatura minus sześćdziesiąt stopni – samochód dosłownie zamarzał w czasie jazdy! Przy takim mrozie



ROMUALD KOPEJSKI



wykonanie jakiegokolwiek normalnej czynności granoczyło z cudem. Przez dwa i pół miesiąca prawie nie gasiliśmy silnika.

Chyba w żadnych innych warunkach walka nie jest tak uporczywa, wręcz rozpaczliwa, jak podczas wyprawy polarnej. Tu mobilizują się wszystkie ludzkie moce, fizyczne i moralne. Całe doświadczenie, odwaga, opanowanie i wola zwycięstwa. Próbowaliśmy wykonać to niemożliwe zadanie, póki nie opadliśmy z sił i nie przekonał się o pełnej jałowości naszych dalszych wysiłków. O tym, że po prostu walczyliśmy już ze ścianą.

Dzisiaj nie sposób opisać, co wtedy czuliśmy. Trudno było nam pogodzić się z taką sytuacją. Z porażką tuż przed osiągnięciem mety. Poddać się? To nie leżało w naszych charakterach. Byliśmy rozdarci. Pamiętam, że długo stałem i patrzyłem na odległe góry, za którymi znajdował się cel naszej wyprawy. Stałem i nic nie czułem. Także Marian i Viktor zdawali się trwać w stanie odrętwienia. Czuliśmy żal i niedosyt. Nie docierało do nas, że i tak odnieśliśmy niebywały sukces, że samodzielnie dotarliśmy na krańce świata! Że dokonaliśmy czegoś, czego nikt nie zdołał przed nami osiągnąć.

Dzisiaj, z perspektywy czasu, wiemy, że wtedy, na krańcach Czukotki, wybraliśmy

życie, chociaż wcale tak nie myśleliśmy. Przecież wówczas, w chwili kiedy zaczynaliśmy powrót – nie było wcale zawiei, ani nawet pazimki... Od kilku godzin powietrze ani drgnęło. Wyglądało tak, jakby mróz skuł wreszcie wszelkie zimowe burze. Kraina śniegu, lodu, zamieci zdawała się odpoczywać w ciszy i promieniach słońca, które pokazywało się już coraz częściej i zachodziło coraz później...

Wyciągnęliśmy flagi państwowe – polską i rosyjską. Wykonaliśmy pamiątkową fotografię, po czym uścisnęliśmy sobie dłonie. Wsiadliśmy do samochodu. Rozpoczęliśmy odwrót. ○

TE NAZWISKA MUSZĄ TU PAŚĆ

Marian Pilorz, Romuald Koperski i Viktor Makarovsky na krańcach Czukotki



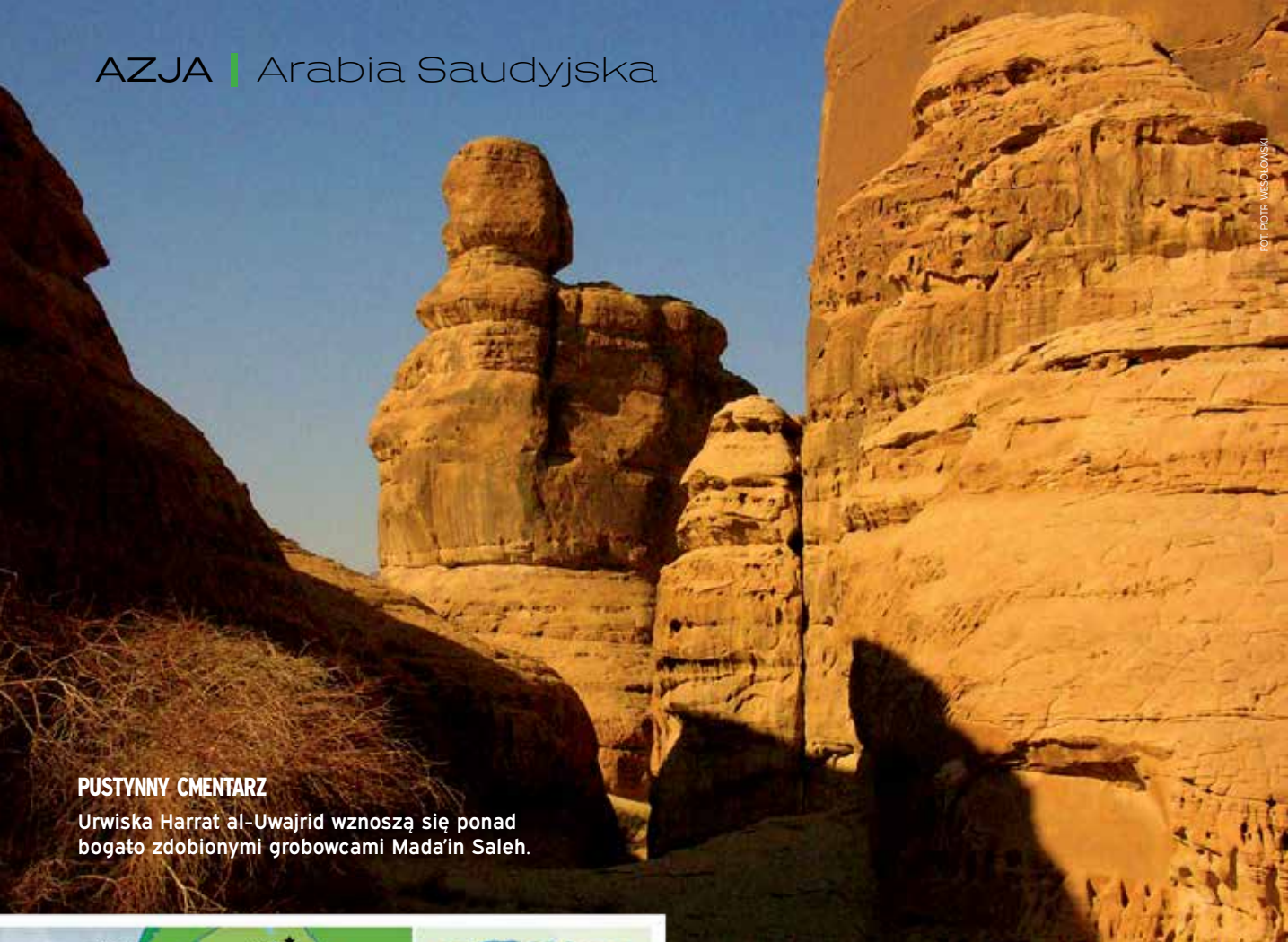
O zmaganiach z Syberią, jej urokach i niebezpieczeństwach, tajemnicach i wyzwaniach, teraz można już przeczytać w syberyjskim tryptyku Romualda Koperskiego, na który składają się: „Pojedynek z Syberią”, „Przez Syberię na gapę”, „Syberia. Zimowa odyseja”.

MIA S

Mada' in Saleh to dziś jedna z największych atrakcji turystycznych Arabii Saudyjskiej. Usytuowana w północno-zachodniej części Półwyspu Arabskiego i wpisana od 2008 na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Wspaniała antyczna nekropolia z czasów nabatejskiego imperium. Niezwykła, lecz nieczęsto odwiedzana przez turystów...

TO PRZEKLEŃTE

Piotr Wesółowski



FOT. POITR. MESLOWSKI

PUSTYNNY CMENTARZ

Urwiska Harrat al-Uwajrid wznoszą się ponad bogato zdobionymi grobowcami Mada'in Saleh.



nych hoteli w całej okolicy, a najstarsza część miasta – kompleks wąskich uliczek, które niegdyś tętniły życiem – to ruina w opłakanym stanie.

NAJPIERW WOJSKO I POZWOLENIE SPECJALNE

Po zakwaterowaniu pozostaje mi jedynie godzina jazdy samochodem, aby dotrzeć do celu. Wyjeżdżam z Al-Ula i zgodnie z opisem na mapie kieruję się na północny wschód. Z odrobiną lęku przed możliwym rozczarowaniem przemierzam kolejne kilometry, które prowadzą poprzez pustynne i skalne przełęcze, ciągnące się po obu stronach autostrady. Jest jeszcze wcześniej i wraz ze wschodzącym słońcem wzgórza nabierają coraz to głębszych odcieni purpury. Wiatr i erozja nadały im przedziwne, nieprawdopodobne kształty. Pejzaż tych okolic jest czymś, czego nie doświadczyłem nigdzie wcześniej. Skąły pojawiają się nieoczekiwanie, jakby wyrastały z pustynnych podziemi...

Najpierw niepozorny pas startowy, ciągnący się wzdłuż piaszczystego wybrzeża nieopodal miejscowości al-Wadż. Lecę do odległego stąd około 250 kilometrów Al-Ula. Według archeologów, znajdowało się tam biblijne Dedan – żydowska osada słynąca z handlu kadzidłem i mirrą. Leżała na starożytnym szlaku handlowym karawan przemierzających pustynie Arabii. Dziś w Al-Ula mieści się jeden z nielicz-



SKALNY STRAŻNIK

Kordon wzgórz dziś, tak samo jak kiedyś, strzeże tajemnicy Mada'in Saleh.

Na teren samej nekropolii wjeżdżam przez posterunek wojskowy, za okazaniem pozwolenia wystawianego przez saudyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w stolicy kraju Rijadzie. Wartownicy są podejrzliwi i mało uprzejmi, choć Saudyjczycy są na ogół przyjaźni i bardzo gościnni. To niecodzienne zachowanie jest zaskakujące i być może wynika z ich przekonania, że Mada'in Saleh to miejsce skazane na odwieczne zapomnienie, jako świadectwo boskiej kary, wymierzonej bałwochwalczym innowiercom; że jest to miejsce przeklęte, a ja mogę być tutaj tylko intruzem.

MADA... JAK PETRA

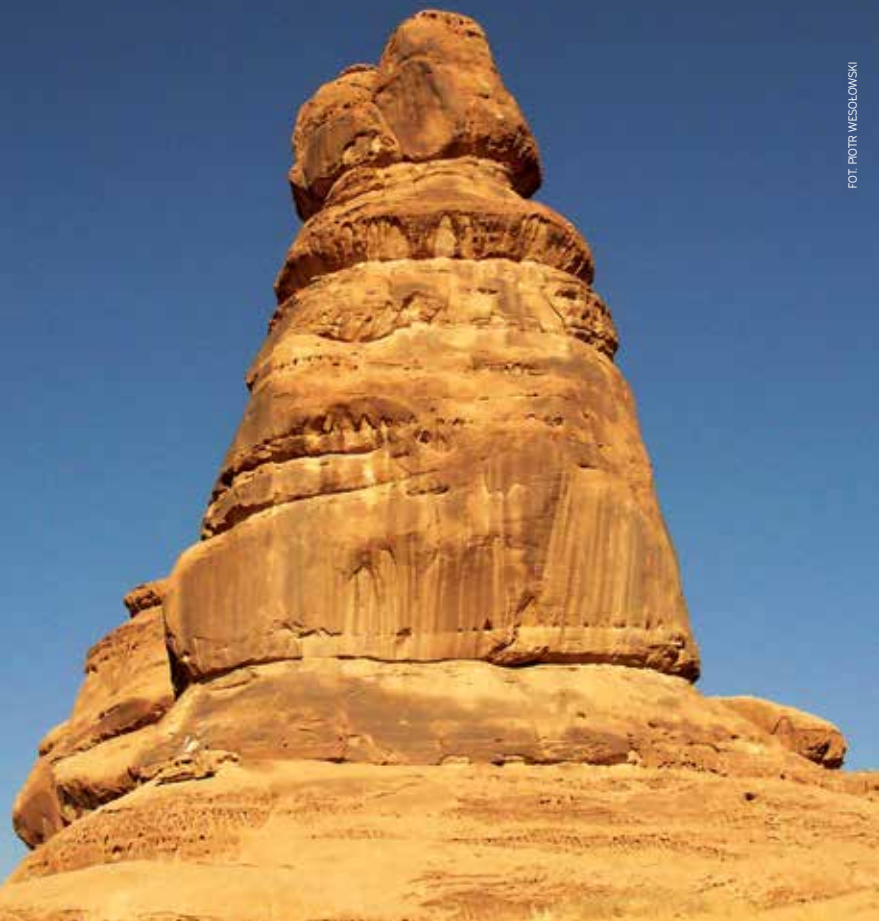
Mada'in Saleh to drugie, po jordańskiej Petrze, skupisko archeologicznych znalezisk i pozostałości po nabatejskim imperium. Około 2000 lat temu ciągnęły tędy niemal wszystkie szlaki handlowe, łączące Indie i Chiny z Azją Mniejszą (dzisiejszy Bliski Wschód) i Europą. Nabatejczycy to semickie plemię, które przywiązywało szczególne znaczenie do tworzenia wykwintnych grobowców i rozległych nekropolii, a nie – jak w przypadku innych kultur czy cywilizacji – do budowania siły i prestiżu poprzez stawianie potężnych miast, warowni czy okazałych świątyń.

Stolicą nabatejskiego imperium była Petra (obecnie w południowej Jordanii). Dziś to ogromne cmentarzysko, ukryte przez stulecia pośród zawitych górskich przełęczy. Dostępne jest jedynie poprzez wąski przesmyk, prowadzący m.in. do monumentalnej budowli – wykutego w skale grobowca al-Khazneh al-Faroun. Wbrew wielu teoriom, al-Khazneh

GROBOWCE FASADOWE

Styl i konstrukcja skalnych grobowców w Haribie to być może załączek dekoracyjnych a przy tym monumentalnych nabatejskich grobowców z Mada'in Saleh.





FOT. POTR. WESOŁOWSKI

ZASKAKUJĄCE KSZTAŁTY

Formacje skalne otaczające Mada'in Saleh stanowią także o osobliwości tego miejsca.

al-Faroun jest również miejscem pochówku, a nie świątynią, czy też skarbcem (choć ta nazwa po arabsku znaczy właśnie „skarbiec faraona”). Petra to jedna z większych nekropolii na świecie. Tu chowano nabatejskich władców, dygnitarzy i innych zasłużonych. Dokładnie tę samą funkcję pełniła, odległa o kilkaset kilometrów na południe, Mada'in Saleh, zwana przez starożytnych Greków Hegrą.

Jedną z najważniejszych budowli na terenie opustoszałej nekropolii, którą właśnie zaczynam zwiedzać, jest Qabr lub Qasr al-Fareed (qabr – grobowiec, qasr – pałac), który wznosi się samotnie tuż poza kręgiem innych, wykutych w skale grobowców, wpisanych w pustynny krajobraz. Qabr al-Fareed to bez wątpienia najświetniejsza z budowli w Mada'in Saleh. Być może jest to miejsce spoczynku któregoś z władców lub też zasłużonych przywódców duchowych. Zbyt mało wiemy jednak o nabatejskich obyczajach, o tamtej odległej historii, aby wyrażać stanowcze sądy o zawartości tego grobowca.

ISLAM NIE LUBI STAROŻYTNOSCI

Z nadejściem wiary w Mahometa pomniki innych kultur bywały grabione i dewastowane. I choć struktura budowli w Mada'in Saleh (podobnie jak i w Petrze) wyraźnie wskazuje na ich pochówkowe przeznaczenie, nie odnaleziono współcześnie żadnych pozostałości po zmarłych. Wprawdzie tutejsze budowle to dla naukowców grobowce, ale już dla władz religijnych – pałace, domostwa.

„Przypomnijcie sobie, jak On (...) przygotował wam mieszkanie na ziemi. Na jej równinach budujecie sobie zamki, a góry drążycie jako domy.” Koran „Wzniesione Krawędzie” – Al-A'RAF 7:74.

Muzułmańscy hierarchowie sugerują, iż ludem zamieszkującym niegdyś te okolice byli Samudyci, a nie Nabatejczycy, co twierdzą jednogłośnie naukowcy. Religia czasami przeczy nauce, a nauka kwestionuje niektóre teorie duchownych – obie strony potrafią z uporem trwać przy swoim. Podobnie jest na Półwyspie Arabskim. Samudyci byli plemieniem, które zamieszkiwało zupełnie inne i odległe okolice w obrębie starożytnej Arabii. Współcześnie uważa się więc, że to Nabatejczycy zbudowali Mada'in Saleh, i do tego w kilka stuleci później niż okres opisywany w Koranie.

Dla ścisłości dodajmy, że imperium nabatejskie upadło z końcem drugiego stulecia naszej ery, a teren jego dawnych wpływów zamieszkało później wiele plemion arabskich, które przyjęły islam dopiero w 732 roku.

Spór o faktyczne pochodzenie grobowców nie przyczynia się do ich poznania. Niezabezpieczone krypty są nadal narażone na niszczenie, erozję i wandalizm. Prace archeologiczne posuwają się bardzo powoli i często są przerywane. Arabia Saudyjska jest państwem wyznaniowym i władze religijne decydują tutaj prawie o wszystkim. Być może te puste grobowce to wynik sukcesywnych grabieży i niszczenia. Z pewnością do kolejnych dewastacji cmentarza przyczynia się również dogmatyczne przestrzeganie zasad islamu... Widoczne na fasadach wizerunki orła, symbolu imperium, zostały zniszczone w taki sposób, by nieczytel-

ne stało się jego oblicze. Ekspozowanie jakichkolwiek wizerunków w islamie jest zakazane.

GRÓB SZAMANKI I KONIEC IMPERIUM

Sam pobyt tutaj sprzyja przemyśleniom. Większość czasu w Mada'in Saleh spędziłem włączając się po pustynnych bezdrożach, napotykać jedynie pojedyncze osoby – najczęściej muzułmańskich pielgrzymów. Czasami nawet próbowaliśmy wspólnie rozwiązywać zagadki niektórych charakterystycznych budowli. „Grobowiec młodej kobiety” – Qabr al-bint. Tak określana jest budowla z wizerunkiem Meduzy tuż nad sklepieniem pomieszczenia, stojąca w szeregu innych podobnych konstrukcji. Z pewnością kryje jakąś tajemnicę. Prorok Mohammed wspominał historię kobiety, mieszkanki Mada'in Saleh, o szczególnie wrogim nastawieniu do wiary. Za to właśnie kobieta ta ukarana została w sposób szczegó-

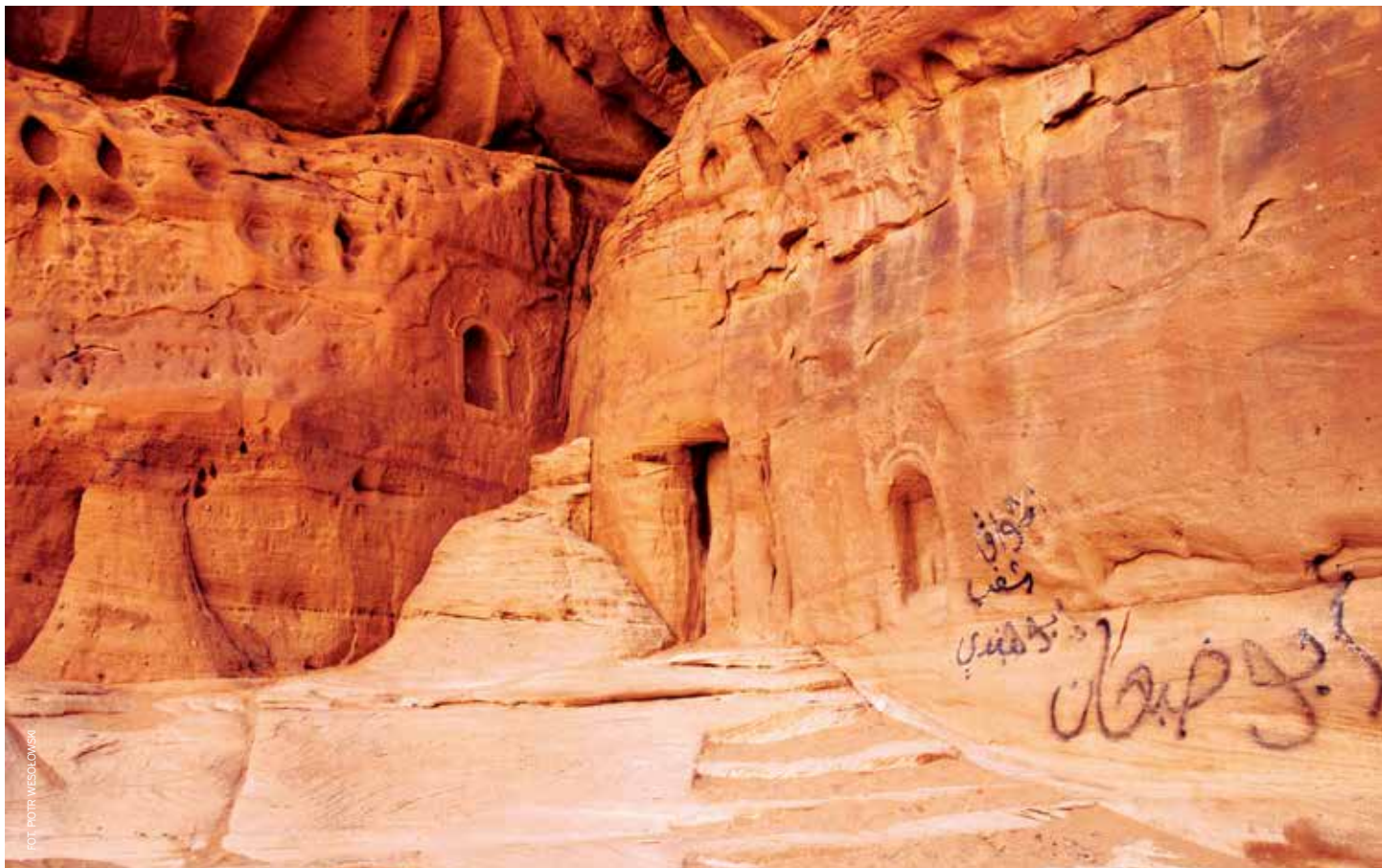
ny: popadła w obłęd. Może to grób tej szamanki?

Nieopodal grobowca natrafiam na al-Diwan. Znajduje się tuż przy wejściu do krętego wąwozu, na którego skalnych ścianach widnieją liczne ołtarze poświęcone Duszarze lub Al-Uzza – czczonym przez starożytnych mieszkańców nabatejskiego imperium. Al-Diwan to teren spotkań starszyny, choć jego położenie mogłoby również wskazywać na funkcje liturgiczne – miejsce, gdzie odprawiano misteria i inne sakralne rytuały.

Stąd zmierzam w kierunku kolejnych budowli. Przede mną na wpół dokończony grobowiec. Czy to znak, że nekropolię porzucono w pośpiechu, a koniec imperium nastąpił nagle i niespodziewanie? Czy Mada'in Saleh, podobnie jak Petra, padła ofiarą kataklizmu? „I pochwyliło ich trzęsienie ziemi, tak iż raniem pozostawali w swoich domostwach, leżąc pierściami do ziemi...” Koran „Wzniesione Krawędzie” – Al-A'raf 7:78.

GDZIE SĄ NABATEJSKIE BÓSTWA?

Po obu stronach wąskich, skalnych przełęczy natrafić można na ślady antycznego kultu. Są tu ołtarze poświęcone najważniejszemu nabatejskiemu bogowi Duszarze - panu Słońca, Ziemi i urodzaju oraz żeńskiemu bóstwu Al-Uzza, czyli Wszechmocnej. Graffiti pozostawiamy bez komentarza.



**ZABYTEK CZY MIEJSCE
KULTU**

Mada'in Saleh wciąż odwiedzają liczni pielgrzymi, choć nikt nie ma pewności co do pochodzenia i przeznaczenia starożytnych budowli.

Brak jest jednak śladów zniszczenia typowych dla trzęsienia ziemi. Ślady takie można z łatwością odnaleźć w Petrze. Może więc do opuszczenia Mada'in Saleh przyczyniła się klątwa i kara, o których wspomina Koran? Mówi on przecież, że jest to miejsce przeklęte i skazane na zapomnienie: „Jak gdyby tam nie mieszkali. O tak! Zaprawdę, lud Samud nie uwierzył w swego Pana. O tak! Niech przepadną Samudyci!” Koran „Hud – Hud” 11:68.

**OLŚNIENIE,
CZYLI QABR AL-FAREED**

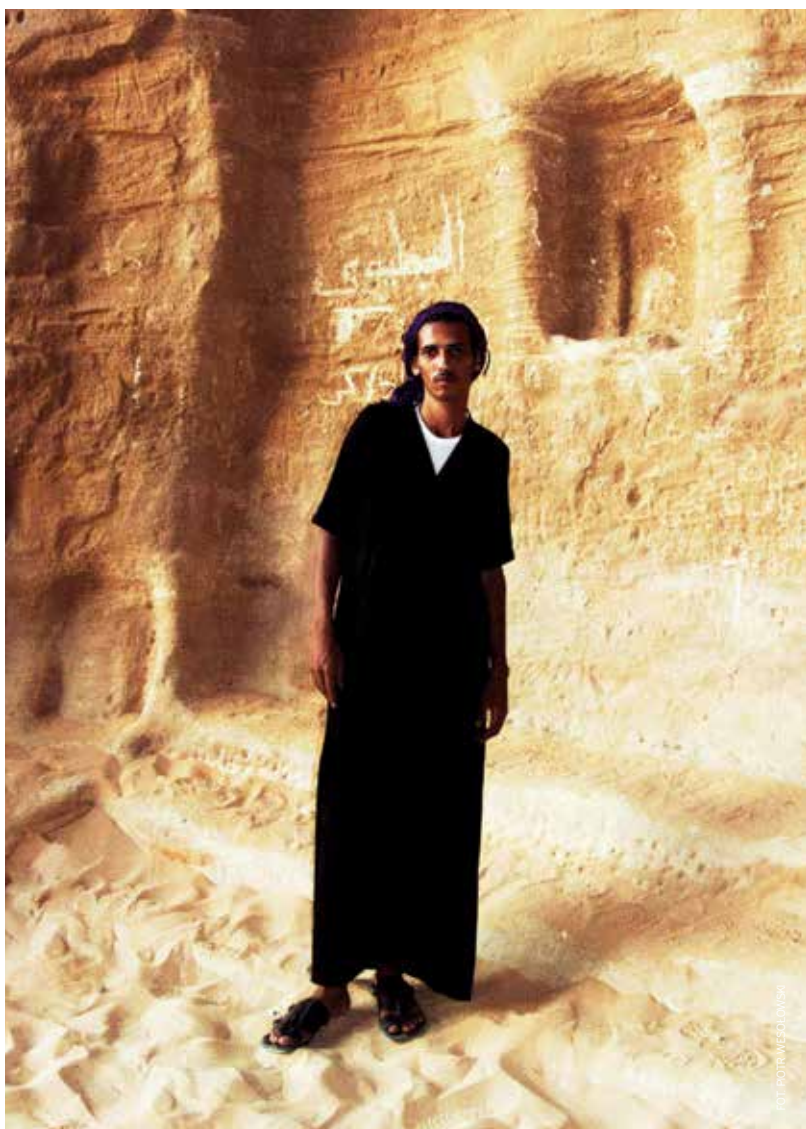
Przez cały tydzień mojego pobytu w Mada'in Saleh, dzień w dzień tuż przed zapadnięciem

zmroku, zatrzymuję się na chwilę przed grobowcem Qabr al-Fareed. Z jakiegoś powodu to miejsce stało się dla mnie szczególnie. Jedną z piękniejszych, majestatycznych budowli nabatejskich, bardziej mroczna i tajemnicza niż al-Khazneh al-Faroun w Petrze. Wpatrując się w rozpaloną zachodzącym słońcem fasadę, rozmyślam i zadaję sobie pytania: kim był pochowany tu samotnik? Czemu miało służyć jego cmentarne odosobnienie? Qabr al-Fareed to w końcu powód, dla którego się tutaj znalazłem...

Przygotowując materiał do artykułu o Petrze, trafiłem na fotografię nieznaną mi imponującej budowli. Był to bez wątpienia nabatejski grobowiec, ale jak żaden inny, z którym zetknąłem się dotychczas, tkwił majestatycznie i samotnie na bezkresnej pustyni niczym gwiazdny meteor. Qabr al-Fareed! Decyzję wyjazdu do Arabii Saudyjskiej podjąłem prawie natychmiast. W miarę jednak jak zamiar przeobrażał się w plan, pojawiały się kolejne trudności. Niemniej, po wielu tygodniach oczekiwania, Ambasada Królestwa Arabii Saudyjskiej w Ottawie zezwoliła mi na tę niecodzienną podróż, a Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Rijadzie wydało pozwolenie na wjazd do Mada'in Saleh.

Ta wyprawa do odległego i odosobnionego miejsca nasunęła wiele pytań. Może tajemnica pochodzenia kultury nabatejskiej tkwi gdzie indziej? Odkrycia archeologiczne na terenie Arabii Saudyjskiej wskazują na starożytną społeczność określaną w Biblii jako Lijanicy. Jest to teza poparta odkrytymi niedawno grobowcami skalnymi w miejscowości Hariba, nieopodal Mada'in Saleh. Styl i konstrukcja prostych lijanickich grobowców wskazują, że mogłyby stanowić załączek wykwinnych i monumentalnych nabatejskich nekropolii. Wszelkie prace archeologiczne na tym obszarze zostały jednak wstrzymane, a wstęp osobom postronnym jest absolutnie wzbroniony.

Mada'in Saleh pozostaje więc nadal miejscem tajemniczym i „przeklętym”, strzegącym wciąż swoich niezgłębionych sekretów. Prawdopodobnie dalsze prace historyków i archeologów oraz kolejne wykopaliska – przy większej otwartości tamtejszych władz – ujawnią prawdę o pochodzeniu i przeznaczeniu niezwykłych grobowców z Mada'in Saleh. ○



AZS MTB CUP

WWW.AZSMTBCUP.COM

Przekonaj się
czym jest
prawdziwe
cross-country!

PULA NAGRÓD:
ponad 100 000 zł

OTWARTY AKADEMICKI
PUCHAR POLSKI W MTB

IMPREZA WPISANA DO
KALENDARZA PZKOL



**NAJWIĘKSZY CYKL WYŚCIGÓW
CROSS-COUNTRY W POLSCE**



22 kwietnia
WARSZAWA



6 maja
BYDGOSZCZ



20 maja
WROCLAW



9 czerwca
PIWNICZNA
/ WIERCHOMLA



15 lipca
USTRON



2 września
LUBLIN



23 września
ZABRZE

PATRONI MEDIALNI:



SPONSORZY:





Patryk Kumosiński

KADRY Z WARANASI





Ganges jest uważany przez wyznawców hinduizmu za świętą rzekę. Wierzą oni w jego cudowną moc. Marzeniem każdego hindusa jest oczyszczająca kąpiel. Z minuty na minutę pojawia się coraz więcej wiernych. Obiegają schody, dokonują ablucji, modlą się i rozmawiają.

OCZYSZCZA NIE TYLKO Z BRUDU



निवेद

सौम्य

डातये के यह कलि आपका है दुसे सु

Gdy zaczynałem swoją przygodę z fotografią, myślałem, że do dobrego portretu niezbędny jest obiektyw o długiej ogniskowej, by twarz była ostra, a tło rozmyte. Jednak kiedy robiłem zdjęcia z odległości, twarzom fotografowanych brakowało emocji. Dziś już wiem, że trzeba być jak najbliżej, nawiązać kontakt, zamienić kilka zdań. Pod tym względem Indie to idealny kraj. Wykonałem setki zdjęć i nigdy nie było problemu. Ludzie często sami mnie pytali, czy nie zechciałbym ich sfotografować.

PODEJDŹ BLIŻEJ





Krowy spotyka się w Indiach na każdym kroku: w wejściu do hotelu, na targu, a nawet w świętej rzece. Fotografując te wdzięczne zwierzęta niejednokrotnie miałem wrażenie, że posiadają umiejętność pozowania.

ŚWIĘTE KROWY W ŚWIĘTEJ RZECE

Aparat ustawiam na zdjęcia seryjne. Zazwyczaj robię trzy do pięciu kadrów. Dzięki temu jest z czego wybrać. Niniejsze zdjęcie to pierwsze z trzech, jakie wykonałem temu mężczyźnie. Na kolejnych dwóch twarz była odwrócona.

CHWYTAJ CHWILE



Fotografowani żądają czasem drobnego wsparcia w postaci kilku rupii. Nie jest to duży wydatek, a można dzięki niemu stworzyć życzliwą relację, która pozwoli osiągnąć zamierzony efekt.

WARTO ZAINWESTOWAĆ

WYPALANIE TRAW

Wojciech Jagielski

Miałem kiedyś przyjaciółkę w Ventersdorpie, niewielkim burskim miasteczku na stepie Transwalu. Była dziennikarką z miejscowej gazety. Kiedy zadzwoniłem do niej, by powiedzieć, że zamierzam napisać o miasteczku i Eugène Terre'Blanche'u, człowieku, który nim rządził, odłożyła słuchawkę i więcej nie odbierała moich telefonów.

Blade jesienne słońce wstało nad miasteczkiem i otaczającym je stepem. Zaczynała się Wielka Sobota, czas smutku i niepewności. Dymy z wypalanych traw, od tygodnia zasnuwające widnokrąg, przez noc podeszły bliżej. Pędzone wschodnim wiatrem podpełzły spod farm przez rzekę Czystą aż pod miasto. Budziły niepokój, myśli o karze i skrusze, nieznanym jeszcze rozrachunku.



W południe Chris Mahlangu przyszedł na farmę Terre'Blanche'a, ale nie zastał białego farmera. Postanowił więc wybrać się do miasta i prosić o pieniądze jego żonę. Wiedział, gdzie mieszka, czasem kosił u niej trawę.

Mahlangu, jak wszyscy ludzie w miasteczku, wiedział, że Terre'Blanche nie płacił robotnikom najmowanym do pracy na farmie, nie płacił nawet za sprawunki w sklepach. Kupował na kredyt, którego biali i hinduscy sklepikarze nie ośmielali się mu odmówić. Niegdyś spłacał wszystkie długi pod koniec każdego miesiąca. W ostatnich latach nie był jednak tak skrupulatny i na widok Terre'Blanche'a sklepikarze w mieście wymykali się na zaplecze.

Nie płacił też czarnym, których zabierał z Tshingu do koszenia trawy czy pasania bydła. Jak inni biali farmerzy, odliczał im od obiecanej pensji każdy, nawet najmniejszy dodatkowy wydatek. Odliczał za benzynę, jaką zużywał, by przewieźć ich z miasta na farmę, za nocleg w starej stajni i za prąd. Odliczał każde piwo czy butelkę whisky, jakie kupował dla nich na kredyt. Kiedy przychodził dzień wypłaty, z obiecanych kilkuset randów wydzielał robotnikom najwyżej połowę.

Inni biali farmerzy nie byli lepsi i przyjezdni dziwili się czarnym z Tshingu, że zajmują się do nich do pracy. Jakby mieli wybór! W całej okolicy nie było żadnej innej roboty ani okazji do zarobku. Szli więc na służbę do farmerów, licząc, że może akurat im się poszczęści. W Wielką Sobotę Chris Mahlangu wiedział już, że mu się nie poszczęściło. Kiedy poprzedniego dnia, w Wielki Piątek, poprosił Terre'Blanche'a o pieniądze, farmer kazał mu przygnać z pastwiska stado i policzyć na jego oczach bydło. Chris doliczył się dziewięćdziesięciu czterech sztuk, a Terre'Blanche upierał się, że powinno być dziewięćdziesiąt siedem.

Zagroził, że jeśli krowy się nie odnajdą, nie tylko nie zapłaci ani grosza, ale pošle Chrisa do więzienia za kradzież. Już sama groźba wezwania policji przeraziła Mahlangu, który nie miał żadnych dokumentów, a po aresztowaniu mógł zostać odesłany do Zimbabwe, skąd jego

rodzina przywędrowała za chlebem.

Terre'Blanche przeklinał i wyzywał go od czarnuchów, wygrażał maczetą, którą na farmie zawsze nosił przy sobie. Wszyscy wiedzieli, że gdy wpada w gniew, traci panowanie nad sobą. W pewnej chwili podszedł do Mahlangu i schwycił go za gardło. „Lepiej, czarnuchu, żebyś przyprowadził mi te krowy – wysyczał, podnosząc maczetę. – Bo inaczej nie będzie czego z ciebie zbierać”. Mahlangu wyrwał się farmerowi i pędem uciekł przez łąkę na sąsiednią

sklepu, która zjechała na święta do miasteczka z uniwersytetu i w Wielką Sobotę pomagała ojcu. Na farmie zaproponował, by napili się na zgodę i zapomnieli o nieporozumieniach. Ale kiedy napomknęli o pieniądzach, znów wpadł w gniew i kazał im się wynosić, a sam poszedł do domu, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.

Mahlangu i Patrick poszli na farmę Koetzego, gdzie podzielili się piwem z miejscowymi robotnikami. Pałac papierosy, naradzali się, co począć. „Z tym białym są same



FOT. SHUTTERSTOCK

farmę Dirka Koetze. Wieczorem Terre'Blanche posłał za nim stajennego Patricka, żeby wrócił i że się dogadają.



Wrócili razem nazajutrz, ale Terre'Blanche'a nie było na farmie, a jego żona w mieście powiedziała, że nie mieszka się do rozliczeń między mężem i robotnikami. Zadzwońiła po męża, a on kazał im czekać na ulicy.

Przyjechał pogodny, niemal przyjazny. Bywał taki, gdy nic nie wyprowadzało go z równowagi. Kazał im wsiadać do samochodu. Bez słowa wgramolili się na skrzynię półciężarówki. Biali w miasteczku nadal tak właśnie wozili swoich czarnoskórych pracowników czy służbę. Nie wolno im było zajmować miejsc w środku pojazdu. Wezwani do samochodu, wspinali się na tył półciężarówek, tam gdzie układano zakupy, ładunki, sprzęty, rzeczy.

Po drodze na farmę zatrzymali się w wielkim sklepie Overland z napojami alkoholowymi na skraju miasteczka. Mrugając porozumiewawczo, Terre'Blanche kupił trzydzieści niewielkich butelek wina jabłkowego Savanna Cider i trzy paczki papierosów, a dla siebie piersiówkę wódki Smirnoff. Jowialnie, jak to on, żartował z córką właściciela

kłopoty – kręcili głowami. – Wszystkim byłoby lepiej, gdyby nie żył”. Pod wieczór wrócili na farmę Terre'Blanche'a, by jeszcze raz zażądać od farmera pieniędzy. Drzwi domu były zamknięte. Ale zobaczyli uchylone okno. Chris dał znak Patrickowi, by na niego poczekał, a sam poszedł do stajni. Za chwilę wrócił, niosąc ciężki, żelazny łom.



Cienie zbierały się i gęstniały w dolinie. Dan van Zyl usiadł na werandzie swojego domu, żeby na to popatrzeć. Zwykle nie tak spędzał wieczory, nie miał czasu na takie rzeczy. Ale tego dnia usiadł i patrzył, zupełnie jakby czuł, że powinien. Ze swojego domu na wzgórzu widział dobrze polną drogę w zielonej dolinie i gęste zagajniki porastające położoną na przeciwległym zboczu farmę. Należała do jego szwagra, Eugène'a Terre'Blanche'a. W ostatnich latach gospodarstwo Eugène'a mocno podupadło. Van Zyl siedział na werandzie i dumał nad tym, jak to jest z tą ziemią. Jak się nie ma do niej serca ani głowy, to i ona nie jest łaskawa, przestaje rodzić.

Eugène żył wielką polityką. Jego światem były niekończące się debaty o tym, jak fatalnie szły sprawy w kraju i jak

się jeszcze pogorszy, gdy władzę przejmą w końcu czarni. Zwoływał swoich zwolenników na narady i pochody, głowił się, jak temu zaradzić i nie dopuścić czarnych do rządu. A ziemia marniała. Światem Eugène'a były nocne wiece z pochodniami. Przybywał na nie konno, wystrojony w paradny mundur i wśród łopoczących sztandarów wygłaszał płomienne przemówienia, groził wojną. Czy ludzie tacy jak on mogli zajmować się ziemią?

Eugène'owi pochlebiało, gdy w gazetach nazywali go burskim komendantem, generałem, ostatnim obrońcą białej rasy. Choć w rodzinnym Ventersdorpie nie sprawował żadnego urzędu, uchodził za najważniejszego obywatela miasteczka. Nietykalgono, niepodlegającego żadnym prawom poza tymi, które sam ustanowił. W czarnych wzbudzał prawdziwą trwogę, a i biali nie śmieli mu się przeciwstawić.

„Co za marnotrawstwo”, westchnął ciężko Dan van Zyl, zerkając na rodzinną farmę Terre'Blanche'ów, którą Eugène przejął po ojcu. Chwasty z każdym rokiem bardziej się rozrastały w wysokiej, niekoszonej trawie, na której Terre'Blanche kazał wypasać bydło, a na pastwisku, to tu, to tam, wybijały się kępy młodych drzew i krzaków. Dan van Zyl przyglądał się ruchomym cieniem w dolinie, pograżony w myślach, nieobecny. Nie drgnął nawet, gdy w salonie zadzwonił telefon. Dzwonek ucichł, ale po chwili odezwał się znowu, jeszcze natarczywiej i głośniejsze.

Usłyszał głos żony. Dzwoniła Martha, żona Terre'Blanche'a. Nie mieszkala na farmie, lecz w miasteczku. W położonym na odludziu gospodarstwie nie czuła się bezpiecznie. W ostatnich latach na rozrzuconych wokół miasta farmach coraz częściej dochodziło do napadów i mordów i wielu farmerów pokupowało dla swoich rodzin domy w Ventersdorpie. Jeździli na farmy jak do biura, a na noc wracali do miasta. Słońce zaczynało zachodzić i Dan chciał już do domu, gdy od strony zagrody Terre'Blanche'a na wzgórzu ukazał się czarny koń. Przeciął łąkę na zboczu, rysując szlak wśród wysokiej, pożółkłej trawy, przegalopował do płotu przy gruntowej drodze, a potem zawrócił i pognął z powrotem w kierunku domu. Van Zyl dobrze znał tego konia i dlatego od razu wiedział, że stało się coś złego.



Chris Mahlangu i Patrick zakradli się do sypialni przez niedomknięte okno. W pomieszczeniu panował półmrok. Farmer leżał na wznak na wielkim łóżku, z rozrzuconymi ramionami, w ubraniu, w rozpiętych spodniach. Spał.

Przez chwilę stali, przyglądając się chrapiącemu mężczyźnie. Już pierwszy cios, zadany przez Mahlangu metalowym prętem, pozbawił Terre'Blanche'a przytomności.

Chris Mahlangu uderzał dalej, raz za razem, wkładając w każdy cios całą siłę, nienawiść, wściekłość i strach. Uderzenia spadały na głowę, ramiona i pierś leżącego farmera. Mahlangu słyszał chrzęst miażdżonych kości, czuł w powietrzu krew.

Gdy opadł z sił, oddał łom Patrickowi, który stał i tylko się przypatrywał zabijaniu. Teraz bez słowa zamachnął się i uderzył trzy razy w głowę i pierś białego. Każdy z ciosów podrywał w powietrze ciało Terre'Blanche'a, jakby przywracając mu życie.

W sypialni było prawie ciemno i duszno. Ciężko dysząc, przyglądali się okrwawionemu trupowi, który w niczym nie przypominał wzbudzącego strach białego farmera. Twarz, całkowicie zmiażdżona, była nie do rozpoznania, jeden z ciosów zdruzgotał szczękę, przebił policzek i język. Zdawało się, że krew jest wszędzie. Na łóżku, poduszce i ciele ofiary, na ścianach, suficie, podłodze, na ubraniach i rękach zabójców, na ich twarzach i włosach.

Chris Mahlangu wy dobył zza pasa nóż. Pochylał się nad obnażonymi zwłokami, gdy z kieszeni spuszczonej spodni Terre'Blanche'a wypadł na podłogę telefon komórkowy i kluczyki samochodowe. Metaliczny, zgrzytliwy dźwięk nieprzyjemnie przerwał ciszę.

Mahlangu się wzdrygnął. Zerknął jeszcze na zmasakrowane ciało, ale bez słowa schował nóż do kieszeni spodni i schylił się po telefon i kluczyki. Telefon zadzwonił, gdy tylko go dotknął. Wepchnął go głęboko do kieszeni i dał znak Patrickowi.

– Zabieramy się stąd.

Wychodząc, zatrzasnęły za sobą kuchenne drzwi.



Tej sobotniej, świątecznej nocy, poprzedzającej Dzień Zmartwychwstania i Odkupienia, wszyscy w Tshingu mówili wyłącznie o śmierci. Ale nie, jak dobrzy chrześcijanie, o śmierci Zbawiciela, lecz o śmierci Eugène'a Terre'Blanche'a, którego tak się bali i całym sercem nienawidzili. Rozprawiali z ożywieniem, jak kibice po wygranej meczu swojej drużyny.

Środkiem głównej ulicy, jedynej z niewielu w osiedlu oświetlonych nocą lampami, kroczył podchmielony chłopak. Naśladował paradny krok wojskowych defilad, maszerował, śpiewając w mrok:

– Niech żyje śmiałek, co zabił białego farmera! Teraz wreszcie i my będziemy wolni! Hej! Zabij Bura! Zabij farmera! Boją się tylko tchórze!

Ostatnie słowa pochodziły z pieśni, którą przed laty śpiewali czarni powstańcy, buntujący się przeciwko rządowi białych. Zwyciężyli i przejęli władzę, a mimo to na wiecach dalej śpiewali pieśni o zabijaniu Burów. Tłumaczyli, że to przez wzgląd na dawne czasy i że słów pieśni

nie należy brać dosłownie, że śpiewając ją, wcale nie nawiązują do zabijania. Biali dopatrywali się jednak w tym złowroziej groźby odwetu, a jej ziszczenie widzieli w coraz częściej powtarzających się zabójstwach białych farmerów, brutalnie mordowanych we własnych gospodarstwach rozrzuconych na stepie.



Telefon wciąż dzwonił i dzwonił, wprawiając Chrisa Mahlangu w bezsilną wściekłość.

Żałował, że go zabrał, podniósł bezwiednie z podłogi razem z kluczykami do samochodu, które wysunęły się białemu z kieszeni spodni. I tak nie udało mu się uruchomić półciężarówki, a telefon zaczął dzwonić, ledwie wziął go do ręki, jak alarm, jak wezwanie o pomoc. Odtąd już nie milkł.

Chris Mahlangu nie żałował tego, co przed chwilą zrobił. Przemyślał to dawno i teraz niczego się nie bał, i nikt nie mógł mu przeszkodzić. A jednak dzwoniący nieustannie telefon wzbudzał w nim niepokój, płoszył myśli. Czuł w ustach cierpki smak jabłkowego wina, a w głowie zamęt wywołany przez alkohol i to, co zrobili. Patrick się nie odzywał. Polna ścieżka była wąska, więc szedł nieco z tyłu, ale Chris czuł na plecach jego nieme spojrzenia, jakby chłopak próbował przeniknąć jego myśli, odgadnąć zamiary, wywołać pochwałę.

Wiedział, że Patrick zrobi wszystko, co mu każe, i nie uczyni nic bez jego polecenia. Miał szesnaście lat, a na farmie pracował od miesiąca. Spał w stajni. Sprawił się jak należy, a nawet lepiej. Teraz szli wśród wysokich traw w dół wzgórza, ku gruntowej drodze oddzielającej ziemię Terre'Blanche'a od sąsiednich gospodarstw Dana van Zyla i jego sąsiada, Dirka Koetze. Tam mieli doprowadzić sprawę do końca, tak jak sobie umyślili.

Telefon, wciśnięty głęboko do kieszeni, znów się odezwał, głośno i natarczywie. Chris przystanął, wyjął aparat i przybliżył go do oczu, by przeczytać numer na wyświetlaczu.

– Znowu! – rzucił cicho przez zęby, rozpoznając powtarzający się, ten sam rząd cyfr.

Telefon umilkł i po chwili znów zaczął dzwonić. Mahlangu nie mógł dłużej tego znieść. Dźwięk wbijał mu się w mózg, dzwonił w głowie, raz za razem, raz za razem.

Paznokciem zaczął podważać tarczę aparatu, a gdy odskoczyła, wydłubał z niego jasną kartę telefoniczną, pogryzł ją i połknął. Telefon umilkł, a wkoło panowała cisza, którą zakłócały już tylko ptaki, krążące wśród drzew w poszukiwaniu schronienia na noc.

– No to teraz, żeby zadzwonić, musimy pożyczyć od kogoś telefon – usłyszał głos Patricka.

Mahlangu tylko kiwnął głową. Kiedy odwrócił się, by spojrzeć na widoczne na wzgórzu zagrody Koetzego i van Zyla, dostrzegł czarnego konia, który biegł wzdłuż płotu oddzielającego farmę od drogi. To był koń Terre'Blanche'a. Wyglądało, jakby szukał wyrwy, drogi ucieczki.



Z gospodarstwa Terre'Blanche'a zabójcy wrócili przez łąkę i drogę na farmę Koetze. Pora była przedwieczorna, a cienie zbierały się i gęstniały w dolinie. Zbroczeni krwią, powlekli się do zabudowań, w których mieszkali zatrudnieni przez farmera czarnoskórzy robotnicy.

– Zabiłem Eugène'a Terre'Blanche'a, zabiłem białego wodza – powiedział Chris Mahlangu. – Teraz to ja tu będę rządził, ja będę waszym moreną, wodzem. Ja będę wydawał rozkazy i mnie teraz będziecie słuchać.

Nie uwierzyli. Nawet wtedy, gdy chciał pożyczyć telefon, by zadzwonić po policję i o wszystkim opowiedzieć. Myśleli, że to tylko przechwałki. A jeśli prawda, to tym bardziej nie należało mu dawać telefonu. W końcu jeden z robotników zgodził się, by Mahlangu zadzwonił po policję z jego telefonu.

Oficer dyżurny kazał Mahlangu i Patrickowi iść na główną drogę i tam czekać, aż przyjedzie po nich patrol. Stali na poboczu, gdy podjechał policyjny samochód i zabrał ich z powrotem na farmę Terre'Blanche'a.

Ku zdziwieniu policjantów, zabójcy nawet nie próbowali uciekać, nie zmyli z siebie krwi ofiary. Spokojni i pogodzeni z losem, przyznali się do wszystkiego, jakby uważając, że postąpili sprawiedliwie, że to im stała się krzywda. Choć dopuścili się zbrodni, byli jej ofiarami na równi z tym, którego zabili.

Nie spodziewali się kary, raczej nagrody.



Koniec obłędnego systemu rasowej segregacji. Biali oddali władzę czarnoskórej większości. Ale nie w rodzinnym miasteczku zapatrzonego w Hitlera Terre'blanche'a. Samozwańczego generała nie obowiązują rządowe umowy podpisane przez zdrajców. W Ventersdorp wszystko ma pozostać zgodnie z boskim planem. Osobno biali Burowie, osobno czarni, osobno potomkowie Anglików. Zmysł obserwacji i mistrzostwo pióra Wojciecha Jagielskiego zamienia tu i teraz mieszkańców południowoafrykańskiego miasteczka w uniwersalną opowieść o rozczarowaniu, jakie niesie z sobą każda wielka społeczna rewolucja.

Wojciech Jagielski – wielokrotnie nagradzany pisarz, publicysta, korespondent wojenny, autor bestsellerowych książek, współpracuje m.in. z BBC i „Le Monde”. Premiera książki „Wypalanie traw” wydanej przez „Znak” nastąpi 10 maja.



Daniel Klawczyński

SĄ JESZCZE W POLSCE DZIKIE KONIE





FOT. DOMINIKA SKONECZNA



FOT. DOMINIKA SKONECZNA



FOT. DOMINIKA SKONECZNA

Ich przodek, tarpan, ostatni dziki koń Europy, wymarł ponad 100 lat temu. Po skomplikowanych kolejach losu udało się wyhodować i podtrzymać odmianę koników polskich, które zachowały wiele cech swych przodków. Niedawno minęła 60. rocznica sprowadzenia tych zwierząt do ośrodka badawczego w Popielnie, obecnie należącego do Polskiej Akademii Nauk. To wydarzenie dało początek stajennej, a potem także rezerwatowej, hodowli zachowawczej konika polskiego.

Obecnie Półwysep Popielniański, znajdujący się pomiędzy jeziorami Śniardwy, Bełdany, Warnoły i Mikołajskim, zamieszkują cztery wolno żyjące tabuny koni. Liczą one w sumie około 45 sztuk. Poza tym, kilkadziesiąt koników utrzymywanych jest w chowie stajennym. Dzięki temu rasa utrwała odziedziczoną po tarpanach umiejętność przetrwania w naturalnym środowisku, a osobniki hodowane w stajniach kształtują przejętą po udomowionych przodkach umiejętność współpracy z człowiekiem. Mnie szczególnie interesowało, jak w realiach surowej i długiej mazurskiej zimy radzą sobie te pierwsze. Postanowiłem potowarzyszyć konikom podczas ich leśnych wędrówek.

DZIKOŚĆ W NATURZE

Dotrzeć zimą w ten odległy zakątek Puszczy Piskiej wcale nie jest łatwo. Im bliżej celu, tym droga staje się węższa i bardziej śliska, a prowadzenie auta zaczyna przypominać jazdę figurową na lodzie. Podczas gdy w innych częściach kraju zima już nieco zelżała, tutaj trzyma w najlepsze i nie zamierza odpuszczać. Uczucie chłodu potęguje lodowaty powiew znad zamrażniętych Śniardw. Półwysep, gdzie bytują koniki, znajduje się w zasięgu mazurskiej dzielnicy rolniczo-klimatycznej, która należy do najzimniejszych miejsc Polski.

Charakterystyczna dla tej strefy jest największa liczba dni mroźnych w roku (ponad 50), dni z pokrywą śnieżną (90) oraz dni z przymrozkami (ponad 130).

Tuż przed granicami rezerwatu dostrzegam idącego po drodze jenota. Drapieżnik jest u kresu sił, wyraźnie wychudzony i nie chowa się na widok człowieka. Przedłużające się silne mrozy i głęboki śnieg na przełomie stycznia i lutego zebrały wśród zwierząt śmiertelne żniwo. Ciekawe, w jakiej kondycji są koniki z rezerwatu. Aby się o tym przekonać, z pomocą zootechniczki Marleny Boroń, docieram w rewir tabunu Trzmiela – starego, 23-letniego ogiera, który wciąż rządzi w haremie.

– To stado o tej porze roku trzyma się w pobliżu miejsc, gdzie wykładamy karmę, tak jak tu, na Żubrzej Polanie. Zaliczamy je do stad „żebraczych”, czyli tych, które przyzwyczyły się do dokarmiania przez turystów. Dzieje się tak, ponieważ jego terytorium znajduje się w pobliżu głównej szosy (z Rucianego-Nidy do Popielna) i jest tym samym szczególnie narażone na kontakty z ludźmi. Latem nader często... Takie dokarmianie stwarza wiele problemów. Ponieważ koniki nie czują lęku przed ludźmi i bywają wręcz namolne, mogą sprawiać wrażenie zupełnie tagodnych. Zazwyczaj rzeczywiście są dość przyjazne, lecz potrafią być też agresywne. Klacz troszczy się o źrebięta, a samiec o całe stado. Gdy poczują się zagrożone, mogą zrobić krzywdę:



LIS NIE STANOWI ZAGROŻENIA

Koniki potrafią bronić się przed atakami drapieżników. Tabun organizuje się w okrąg, w którego wnętrzu znajdują się klacze i źrebięta. Wojownicy ustawiają się zadami na zewnątrz – z kopytami gotowymi do walki.



FOT. DOMINIA SROZNEZNA

STARCIE OGIERÓW

Koniki wykształciły cechy właściwe dzikim zwierzętom, podzieliły się na tabuny – haremy. Wewnątrz każdego stada panuje ścisła hierarchia, a walka o dominującą pozycję bywa bolesna.

ugryźć lub kopnąć – ostrzega pani Marlena. – Już kilkakrotnie wzywaliśmy pogotowie do poszkodowanych turystów.

Włoski fotograf Paolo Volponi, który przez rok śledził żyjące na wolności koniki polskie, zauważył:

– Kiedy je widzisz po raz pierwszy, masz wrażenie, że zachowują się jak domowe konie. Podchodzą do człowieka, jedzą z ręki. Wystarczy jednak, że zostaniesz z nimi trochę dłużej i po godzinie masz już pewność: to są dzikie zwierzęta! Prawdziwie dzikie.

Zgadzam się z nim, bo choć nie przebywałem wśród myszatyh przyjaciół tak długo, odniosłem identyczne wrażenie. Pierwszym przejawem cech odziedziczonych po przodkach – tarpanach jest właśnie tworzenie tabunów. Na czele każdego z nich stoi ogier, przewodząc grupie kilku klaczy i ich potomstwu. Jest także klacz przewodniczka. Wiosną młode ogiery, nieposiadające własnego tabunu, walcą ze starszymi w celu odbicia im klaczy. W czasie walk samce ponoszą nieraz dotkliwe obrażenia, czasami śmiertelne w skutkach. Tak zginął słynny ogier Osowiec, który podczas walki o przewodnictwo w stadzie został silnie uderzony przez swego syna. Największym jednak sprawdzianem z „dzikości” jest umiejętność przetrwania zimy. Najtrudniej jest na przednówku. Trawa wykopywana spod śniegu jest mniej wartościowa i zaczynają się wędrówki w poszukiwaniu pożywienia, niekiedy dość ryzykowne...

TRUDY PRZEDNÓWKA

Skoro wszystko dookoła zostało już wyskubane i obgryzione, wygłodniałe koniki zaczynają wypuszczać się na tereny podmokłe, które z uwagi na ich niedostępność w innych porach roku można porównać do spiżarni. Zawsze znajdują się tam zapasy trawy i sitowia. Wyprawa w pełni zimy, kiedy wszystko jest zamrożone, nie stanowi większego zagrożenia, nawet dla tak ciężkich zwierząt. Jednak u zarania wiosny marcowe słońce powoli zaczyna osłabiać lód, do tego w wielu miejscach znajdują się oparzeliska, i wiele koników ginie. „Te niebezpieczeństwa mijają, kiedy wszystko jest już rozmarznęte i bagna ponownie stają się niedostępne. Wtedy konie nawet nie próbują na nie wchodzić. Dlatego najbezpieczniej byłoby dla nich, gdyby okres roztopów, czyli przedwiośnia, był jak najkrótszy, a prawdziwa wiosna nadchodziła bezpośrednio po zimie. Niestety, tak się nigdy nie zdarza i prawie każdego roku, najczęściej w marcu, ginie w takich tragicznych okolicznościach jakiś konik.” – pisze Zbigniew Jaworski w artykule „Zwiastuny wiosny w rezerwacie koników polskich w Popielnie”.

Innym zagrożeniem tej pory roku są odwiedziny wilków. Ślady ich ofiar już kilkakrotnie znaleziono na terenie rezerwatu. Jak wykazują obserwacje, ich jądłospis stanowią głównie sarny. Jednak pewnego razu zaatakowały żrebiącą się klacz – zjedzoną do połowy znalazł rano pracownik instytutu. Jak sam mogłem się przekonać, koniki dość nerwowo reagują nawet na widok lisa, który zbliżył się

DZIKIE PIĘKNO

Ogier Tytan przewodzi tabunowi.
Tak jak tarpany - ich przodkowie
- koniki z tego stada same
szukają pożywienia.

do stada. O ile sąsiedztwo dzików czy saren nie stanowi dla nich żadnego problemu, to lisa postanowiły przepędzić. Może jego zapach nasuwa im skojarzenia z innym psowatym...

POPISY NA POLANIE

Wędrując za grupą innego ogiera – Tytana, która nie korzysta z wykładanej karmy, lecz z tego, co znajdzie pod śniegiem, wyobrażałem sobie, że tak właśnie zachowywały się tarpany leśne. W ogromnych puszczech i dla nich starczało miejsca. Potem ostoje zaczęły się kurczyć, człowiek tym łatwiej mógł wyłapywać i udomawiać koniki. Podekscytowany niecodziennym obrazkiem, pomimo dokuczliwego mrozu, obserwowałem je przez długie godziny. By nie zamarznąć, udałem się w pewnym mo-

walerii”, odrywając nosy od ściółki. Zimą ten widok nie jest zbyt częsty, gdyż konie oszczędzają energię. Zresztą większa część dnia schodzi im na odkopywaniu i gryzieniu trawy oraz krzewów, z przerwami na deser w postaci śniegu. Po takim posiłku nastaje odpoczynek. Wówczas zastygają w bezruchu. Łatwo wtedy zrobić im zdjęcia z bliska, bez obawy o niespodziewaną reakcję.

Gdy mrok zaczął spowijać las, zawróciłem w stronę samochodu. Ze wzniesienia spojrzałem jeszcze raz na tabun wędrujący w cieniu wzdłuż zamrożonej strugi – dokąd idzie i jak przetrwa tę długą i mroźną noc... Może ich los wynika z faktu, że na pierwszy rzut oka koniki z Popielna nie różnią się od koni udomowionych. Podobnie jak nasi pupile ze stadniny są wobec nas ufne i akceptują naszą

AMBONA W REZERWACIE?

Nawet nie próbowaliśmy dociekać przeznaczenia tej drewnianej konstrukcji.



Wędrując za grupą innego ogiera – Tytana, która nie korzysta z wykładanej karmy, lecz z tego, co znajdzie pod śniegiem, wyobrażałem sobie, że tak właśnie zachowywały się tarpany leśne. W ogromnych puszczech i dla nich starczało miejsca. Potem ostoje zaczęły się kurczyć, człowiek tym łatwiej mógł wyłapywać i udomawiać koniki. Podekscytowany niecodziennym obrazkiem, pomimo dokuczliwego mrozu, obserwowałem je przez długie godziny. By nie zamarznąć, udałem się w pewnym mo-

obecność. Rodzi to specyficzną więź. Coś każe się o nie zatroszczyć. Jednak żyte z knieją koniki potrzebują tej troski tak naprawdę tylko w minimalnym stopniu. Tyle, ile wymaga jej każde dzikie zwierzę zamieszkujące współczesne lasy. ○



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Kwitnące Nantes



Położone u ujścia Loary miasto zachwyca hektarami ogrodów i zielonej przestrzeni. Ludwik XV wydał niegdyś rozkaz kapitanom swoich statków, aby z przywozili z egzotycznych podróży nowe gatunki kwiatów. Dziś na wysepce Île de Versailles podziwiać można ogród japoński z magnoliami, sekwojami, cedrami i japońskimi wiśniami. W parku La Gaudiniere natomiast rokrocznie na wiosnę zakwita prawie

aż 1.5 tysiąca odmian róży. Nie jest to jednak jedyna atrakcja tego idyllicznego miasta. W Nantes tramwaje były tak ciche, że trzeba było je „zgłośnić” aby nie powodowały wypadków. To miejsce jest jednym z najspokojniejszych miast Francji, a zarazem drugim po Paryżu centrum kulturalnym. Ma tu swoją siedzibę najsłynniejszy uliczny teatr świata - Royale de Luxe. W latach pięćdziesiątych Le Corbusier zaprojektował

200 tysięcy kwiatów fuksji, dali, narcyzów, kamelii i azalii. Ale to nie wszystko. Park La Beaujoire jest gospodarzem Biennale Pachnącej Róży, a co pięć lat odbywa się tu też Florales de Nantes. Można podziwiać wtedy 400 gatunków magnolii i

Maison Radieuse (Promienny Dom). To ogromne osiedle mieszkaniowe z kolorowymi balkonami mieszczące się na przedmieściu Rezé, które zobaczyć powinien każdy fan modernizmu. Nantes jest również ojczystym miastem pisarza Juliusza Verne.

 47°13' N 1°33' W

Miasto w Kraju Loary, w zachodniej Francji, ok 50 km od brzegu Zatoki Biskajskiej.



Niemcy Brema - Schnoor

Schnoor to ulica w Bremie, w najstarszej dzielnicy o tej samej nazwie. Swoje miano zawdzięcza kwitnącemu tu niegdyś handlowi częściami statków oraz produkcji lin i kabli. Wszyscy mieszkańcy dzielnicy związani byli z rybołóstwem lub handlem morskim. Najstarsze domy pochodzą z XV wieku. Po rewolucji przemysłowej w XIX wieku wąskie uliczki stały się zbyt ciasne dla zmotoryzowanych mieszkańców i dzielnica stała się jedną z najbiedniejszych. Okres II wojny światowej przetrwała jednak bez większych szkód. Z racji niezwykle malowniczej architektury tego miejsca rząd Bremy w 1959 r. zdecydował się przywrócić temu miejscu dawny blask. Dziś jest to przepiękna stara rybacka dzielnica, po której ulicach można spacerować godzinami w otoczeniu renesansowych, barokowych i klasycystycznych kamieniczek. W trakcie przerwy warto odetchnąć w jednej z uroczych restauracji lub kawiarni, a wieczór spędzić w teatrze Madame Lothar, znanym również jako Teatro Magico.

Jest to obowiązkowy punkt na turystycznej mapie Bremy, który w połączeniu ze zwiedzaniem starego miasta, akwarium morskiego i ogrodu botanicznego zapewni pobyt pełen wrażeń.

 53°04' N 08°48' E

Na północy Niemiec, nad rzeką Wezerą, 60 km od Bremerhaven.



SZNYRY Z BREMY

LAZUR W GÓRACH

 45°38' N 10°40' E

Na północy Włoch, ok. 40 km od Werony.

Garda jest największym i najczystszy jeziorem Włoch. Położone na północy między Wenecją a Mediolanem jest miejscem, w którym bez znużenia można spędzić zarówno weekend, jak całe wakacje.



FOT. SHUTTERSTOCK

To region z licznymi kurortami, miejscowościami turystycznymi. Łagodny klimat sprzyja bujnej roślinności śródziemnomorskiej. Całe jezioro można objechać samochodem lub na rowerze. Po drodze warto odwiedzić sanktuarium Madonna di Montecastello oraz Malcesine, małą miejscowość z bardzo malowniczym portem. Stamtąd również jedzie kolejka linowa na szczyt Monte Baldo.



FOT. SHUTTERSTOCK

Wśród wspaniałych ksiąg

Miało Melk położone jest w kraju związkowym Dolna Austria nad Dunajem. Od wschodu ogranicza krainę Wachau, słynącą z upraw winorośli. Na krawędzi urwistego tarasu znajduje się, przyćmiewające sławą inne austriackie zamki, opactwo Benedyktynów.

Powstałe w średniowieczu i dwukrotnie przebudowane, dziś jest największym barokowym kompleksem tego typu w Europie. Zachwyca architekturą, iluzjonistycznymi freskami Johanna Michaela Rottmayra oraz Paula Trogera. Zasoby biblioteki to około 100 000 woluminów, w tym 2000 rękopisów i 1600 inkunabułów. Atmosfera, historia i niepowtarzalny księgozbiór zainspirowały Umberto Eco, autora „Imienia róży”, której głównym bohaterem i narratorem zarazem jest Adso z Melku.



FOT. SHUTTERSTOCK

U stóp opactwa znajduje się barokowe centrum, baseny na wolnym powietrzu, przystań floty dunajskiej i kempingi. Ośrodek ma regularne połączenia z Wiedniem.

 48°13' N 15°20' E

Ok. 100 km od Linzu.

Ribe uważane jest najstarsze i najlepiej zachowane miasto Danii. Jego dzieje sięgają ery wikingów, czyli początku VIII wieku. Pierwsze wzmianki pochodzą z 860 roku, kiedy to rozpoczęto budowę kościoła.

Około 1202 roku Ribe dostało przywilej królewski, zwalniający mieszkańców od ceł i innych opłat za handel na terenie całego kraju. Pomimo licznych pożarów, epidemii i najazdów wroga, miasto rozwijało się dynamicznie przez całe średniowiecze. Spacer po starym mieście przypomina podróż w czasie. Wieczorami, uliczkami centrum przechadza się strażnik nocny (ówczesny policjant), ubrany w oryginalny mundur, śpiewa pieśń i obwieszcza, że miasto jest bezpieczne i można iść spać. Do tego trwającego

Straż nocna i wikingowie

ok. 45 minut spaceru można się bezpłatnie przyłączyć. Katedra w centralnym punkcie miasta, muzeum sztuki, opactwo św. Katarzyny oraz najstarszy w państwie ratusz to obiekty godne szczególnej uwagi. Najważniejszą jednak atrakcją jest Centrum Wikingów. Jest tam odtworzony targ z roku 720, gdzie uwijają się kupcy i rzemieślnicy; zobaczyć można jak pracuje kowal czy rękodzielnik robiący korale. Przy kei zamurowany jest wikiński okręt, a w głębi lądu odbywają się pokazy sokolników. Najlepiej przyjechać w maju, gdyż zaczyna się największy w kraju targ wikiński, organizowany w pierwszym tygodniu miesiąca. W tym czasie zjeżdżają się setki wikingów z całego świata. W rytmach ówczesnej muzyki podziwiać można pokazy konne, bitwy na miecze, a także pokazy strzelania z łuku.

 55°21' N 8°46' E

283 km od Kopenhagi, około 60 km na północ od granicy Danii z Niemcami



FOT. MARCEJ KODLA

MICHAŁ PAULI • 12 x śmierć • opowieść z Krainy Uśmiechu w KSIĘGARNIACH!

Michał PAULI

12 x śmierć
opowieść z Krainy Uśmiechu



Wszystkie wydarzenia i postacie opisane w tej książce są prawdziwe. Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione ze względu na ich bezpieczeństwo.



PAULI KSIĘGARNIA
WYDAWNICTWO

To jest historia, w którą trudno uwierzyć, chociaż jest prawdziwa. O azjatyckich więzieniach, intrygach, zamachach stanu, przemytnikach i płatnych zabójcach. To jest historia jak z filmu, która przydarzyła się Michałowi Pauli naprawdę.

Nikt z nas nie chciałby znaleźć się na jego miejscu. Nikt nie chciałby usłyszeć wyroku śmierci w sądzie w Azji. Nikt nie chciałby poczuć na nogach kajdan. I właśnie dlatego tę książkę warto przeczytać. Bo ona zaczyna się tam, gdzie kończą się inne historie.

www.michalpauli.pl

Bukareszt liczy prawie dwa miliony mieszkańców. Ta piękna stolica, której XIX-wieczna architektura nawiązuje do paryskiej, przez lata rządów Nicolae Ceausescu traciła swój blask. W tym czasie dyktator zrównał z ziemią jedną piątą starej części miasta, stawiając na jej miejscu betonowe symbole swojej władzy. Dziś Bukareszt powoli odzyskuje świetność. Władze robią wszystko, by przywrócić mu dawne piękno i charakter oraz aby Rumunia przyciągała turystów, nie tylko Drakulą.

Julia Michalczewska

BUKARESZT ODZYSKUJE ŚWIETNOŚĆ





CIĘŻKI JAK GRZECH

— Budynek Pałacu Parlamentu został wpisany do księgi rekordów Guinnessa – jako najcięższy budynek na świecie.



częliśmy od Katedry Patriarchalnej, która jest główną siedzibą Rumuńskiego Kościoła Prawosławnego. Rumuni należą do najbardziej religijnych narodów świata. Tylko cztery procent z nich deklaruje się jako agnostycy lub ateści. Prawie dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa wyznaje prawosławie. Katedra powstała w połowie XVII wieku, ściany i sufity zdobią freski, wiszą kryształowe żyrandole, a główny ołtarz cały pokryty jest złotem. Wnętrze jest bardzo dekoracyjne.

Na nowoczesnym lotnisku w Bukareszcie czekała na nas Emilia – młoda Rumunka, która przez następnych kilka dni miała być naszą przewodniczką. Emilia ma 22 lata i polskie korzenie. Studiowała przez rok we Wrocławiu i bardzo dobrze mówi po polsku.

Przedmieścia Bukaresztu nie wywarły na mnie pozytywnego wrażenia. Jednak gdy zbliżaliśmy się do centrum, widzieliśmy coraz więcej zabytkowych budynków przeplatających się z nowoczesną architekturą. W samym centrum stolicy królowały nowoczesne butikie światowych projektantów mody, których nie widziałam nawet w Warszawie. Zabytkowe kamienice zostały starannie odrestaurowane i efektownie oświetlone. Zwiedzanie rozpo-

PAŁAC WAMPIRA

Kolejny punkt zwiedzania to Pałac Parlamentu. Słowo pałac pasuje tu idealnie. Ta monstrualna, eklektyczna budowla w kolorze białego marmuru przypomina kilkunastopiętrowy tort. Według pierwotnych planów pałac z każdej strony miał wyglądać tak samo, jednak budowy do dziś nie ukończono. Pałacul Parlamentului jest drugim, po Pentagonie, największym administracyjnym budynkiem na świecie. Jego łączna powierzchnia to 65 tysięcy m². Na 12 nadziemnych i kilku podziemnych kondygnacjach znajduje się około 1100 pomieszczeń, w tym 4 restauracje, 3 biblioteki, parkingi podziemne i sale koncertowe. Budowla powstała na rozkaz ówczesnego dyktatora



DZIS TO SALA PRAW CZŁOWIEKA

Za Ceausescu odbywały się tu ważne posiedzenia najwyższych władz komunistycznego reżimu. Pomieszczenie ma 625 m², wszystkie elementy drewniane wykonane są z dębu, a z sufitu zwisa dwutonowy żyrandol.

Nicolae Ceausescu, który kazał wznieść pałac w samym sercu rumuńskiej stolicy. Aby zrobić miejsce na to monstrum, potrzebowano około 7 km² powierzchni. Z tych terenów przesiedlić trzeba było wówczas prawie 40 tysięcy mieszkańców. Prace rozpoczęto w 1983 roku. Nad wykonaniem projektów czuwał sztab 700 architektów, zatrudniono 20 tysięcy robotników. Ceausescu zastrzegł, że wszystkie materiały budowlane i dekoracyjne mają pochodzić z terenów Rumunii. I tak – do budowy wykorzystano milion metrów sześciennych marmuru pochodzącego z Transylwanii. Do skonstruowania 480 żyrandoli (największy z nich waży 2,5 tony) wykorzystano 3,5 tys. ton kryształu.

Na drzwi i okna przeznaczono 700 tysięcy ton stali i brązu. Na parkiety i posadzki zużyto 900 tysięcy m³ drewna. Kosztowne dywany zajmują w sumie powierzchnię 200 tysięcy m².

W Pałacu pomieszkiwał Nicolae Ceausescu wraz z żoną Eleną. Krążą plotki, że główne schody, wykonane w całości z białego marmuru, były trzykrotnie przebudowywane. Ceausescu zażyczył sobie, aby podwójne schody posiadały stopnie dostosowane do długości kroków – jego oraz małżonki.



KAMIENNA MAPA

Mozaika na posadzce jednej z sal, przedstawiająca plan pałacu.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

ZA SIĘMIOMA FONTANNAMI

Jedna z siedmiu fontann, reprezentujących historyczne krainy Rumunii: Wołoszczyznę, Mołdawię, Dobrudżę, Siedmiogród (Transylwanię), Banat, Kriszaną, Marmarosz. Ich symbole znajdują się w państwowym godle.

Po obaleniu reżimu pojawiły się plany sprzedaży pałacu. Podobno zainteresowanym był sam Donald Trump, który chciał tam urządzić kasyno. Od połowy lat 90. w jej komnatach rezyduje parlament, zaś później dołączyły: Trybunał Konstytucyjny oraz instytucje wywiadu. Państwo stara się zarobić na wynajmowaniu sal na koncerty, konferencje i oficjalne spotkania. Niewielką część pałacu udostępnia do zwiedzania turystom. Jest to

możliwe jedynie w zorganizowanych grupach, pod czujnym okiem przewodnika, po okazaniu dokumentu tożsamości oraz uiszczeniu sporej opłaty. Za możliwość robienia zdjęć trzeba dodatkowo zapłacić (tak jak w większości muzeów w Rumunii – opłata często jest wyższa niż cena biletu za sam wstęp). Trzeba przyznać, że wnętrza pałacu robią wrażenie. Niektóre pomieszczenia urządzone są pretensjonalnie, inne ze smakiem i wyczuciem. Przepychność i bogactwo widoczne są w najdrobniejszym detalu. Ale trudno się dziwić – w 1989 r. koszt wykonanej budowy szacowano na 1,75 miliardów dolarów amerykańskich, a w 2006 wzrósł on do 3 miliardów euro. Mimo iż kraju nie stać na utrzymanie pałacu, a spora część nadal nie jest wykończona, co roku wydaje się na niego prawie 8 milionów euro.

Gdy wyszliśmy na słynny taras, z którego Michael Jackson w 1992 roku pozdrawiał fanów, krzycząc „Hello Budapest”, zapytałam Emilię, jakie uczucia ona i jej rodacy żywią do tego „zjawiskowego” miejsca. Okazuje się, że bardzo mieszane. Pałac z jednej strony jest dumą stolicy, lecz z drugiej – koszmarnym wspomnieniem reżimu Ceausescu, zwanego wampirem Bukaresztu.

ZACZĘŁY SIĘ SCHODY

To właśnie one przysporzyły budowniczym i architektom najwięcej problemów. Jedną z ich części miała być dostosowana do długości kroków Ceausescu, druga do kroków jego żony.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

CIORBA I MAMAŁYGA

Na pierwszy rumuński posiłek wybraliśmy się do legendarnej piwiarni Caru To cu Bere, znajdującej się w pięknej, starej kamienicy, która wraz z wystrojem wnętrza jest dowodem na podobieństwo Bukaresztu do Paryża. Kuchnia rumuńska jest zbliżona do śródziemnomorskiej, ale wyczuwa się w niej również wpływy tureckie.

Na stole, tuż po słynnym rumuńskim piwie Ursus, pojawiły się najpopularniejsze przy-



STAVROPOLEOS – MIASTO KRZYŻA

Kościół z początku XVIII wieku jest siedzibą sióstr zakonnych. To tu znajduje się największy w Rumunii zbiór bizantyjskich ksiąg muzycznych.



smaki. Na początek ciorba de perisoare, czyli gęsta zupa z kawałkami mięsa i jarzynami oraz ciorba de burta, czyli rodzaj zabielenych flaczków. Jako danie główne podano dwa rodzaje gołąbków: zawijane w liście kapusty kiszzonej i w liście winogron. Zaserwowano również mici – grillowane pulpeciki z mięsa mielonego z dodatkiem czosnku i przypraw, grillowane mięso wołowe i jagnięce oraz grillowaną kiełbasę. Do tego frytki posypane startym serem oraz mamałygę, czyli papkę z mąki kukurydzianej ugotowanej na mleku. Mamałyga ma delikatny smak i jest podawana do większości rumuńskich dań.

Z warzyw na stole znalazła się jedynie czerwona, pieczona papryka, oraz papryka

podłużna – zielona, ostra. W kuchni rumuńskiej warzywa nie królują, co wydaje się dziwne w kraju o klimacie tak ciepłym i przyjaznym wegetacji. Natomiast korzystają z niego winorośla, dając wyśmienite owoce. Najslawniejszy region winiarski Rumunii, Murfatlar, ma ponad tysiącletnią tradycję.

RUMUŃSCY ROMOWIE

Na jednej z najładniejszych ulic Bukaresztu, Stavropoleos, znajduje się niewielki, ale wyjątkowo urokliwy kościół (od którego nazwana została ulica). Kościół Stavropoleos uważany jest za perełkę architektury prawosławnej. Na końcu ulicy mieści się Casa de Depuneri

PRZENIESIONY DO REZERW

Ten eklektyczny budynek wybudowano w 1900 roku, jako siedzibę Banku Rumuńskiego. Po 106 latach służby uznany został za nienadający się dla nowoczesnej bankowości.

**KONTEMPLACJA I
DEKORACJA**

Krużganek przy kościele Stavropoleos jest, podobnie jak sam kościół, bardzo dekoracyjnie rzeźbiony. Zdobią go arabski z motywami liści i kwiatów.



SKANSEN W CENTRUM

Co roku ponad 200 tys. osób trafia do Muzeum Wsi Rumuńskiej niemal wprost z najbardziej ruchliwej ulicy Bukaresztu. Znajdują tu ciszę, spokój i kontakt z tradycją.

Consemnatiuni si Economie. Ten najstarszy budynek rumuńskiego banku uchodzi za jeden z najpiękniejszych w Bukareszcie. Tuż obok stoi nowoczesna, oszklona bryła, która odbija fasady zabytkowych budynków. Ulica była prawie pusta, ale nagle pojawiła się wokół nas grupka kilkuletnich, umorusanych dzieci romskich. Zaczepiały i prosiły o pieniądze. To widok nierzadki również w Polsce, budujący stereotyp Rumunów jako bezdomnych żebraków. Tymczasem to Cyganie, którzy przyjeżdżają najczęściej właśnie z Rumunii. Okazuje się, że nie tylko w Polsce te nacje – romska i rumuńska – są mylone. W Hiszpanii i Turcji słowa określające te dwie nacje różnią się tylko jedną literą. W Rumunii Cyganie stanowią 2,5 procent populacji.

WIEŚ W MIEŚCIE

W drodze do Muzeum Wsi Rumuńskiej mogliśmy jeszcze raz, z oddali, podziwiać Pałac Parlamentu i siedem fontann, symbolizujących siedem krain historycznych Rumunii. Skansen, znajdujący się nieopodal centrum miasta, jest najstarszym (założony w 1936) tego typu obiektem w Rumunii i jednym z największych w Europie. Na ponad 100 tys. m² znajdują się 272 obiekty. Większość domów, budynków gospodarczych, cerkwi i kapliczek to oryginały, przeniesione z różnych zakątków kraju, i tylko niewielka część to kopie. Malownicze chatki tworzą idealną scenę dla fotograficznych sesji ślubnych.

Wracając do hotelu, minęliśmy łuk triumfalny, zbudowany na cześć żołnierzy rumuńskich w 1936 roku. Ta monumentalna budowla ma 27 metrów wysokości. Podobieństwo Arcul de Triumf do paryskiego Łuku Triumfalnego jest nieprzypadkowe – ma symbolizować przyjaźń między tymi narodami.

Rumunia to ciekawy, malowniczy kraj; z bogatą historią, gościnnymi ludźmi i smaczną kuchnią; z miejscami, które warto zobaczyć. Kraj, do którego chciałabym wrócić. ○



Maja Włoszczowska,
Mistrzyni Świata
w kolarstwie górskim



Kocham Niemcy. Z góry i na dół

Podróżuję po całym świecie, tymczasem nie spodziewałam się, jak dużo przyjemności z jazdy rowerem czeka mnie zaraz po sąsiedzku, w Niemczech. To raj dla tych, którzy uwielbiają spędzać czas na dwóch kółkach. Tu wszystko jest możliwe: zarówno rekreacyjna jazda jak i wyczynowy maraton po górach. Niemcy oferują wszystko, co potrzebne jest do aktywnego wypoczynku; piękne tereny, możliwość relaksu i czerpania radości z życia. A ponieważ studiowałam matematykę finansową: również finansowo urlop w Niemczech jest zawsze dobrą propozycją. **Polecam Maja Włoszczowska**

Wakacje w Niemczech: www.germany.travel

Travel Destination Germany © German National Tourist Board
Supported by:



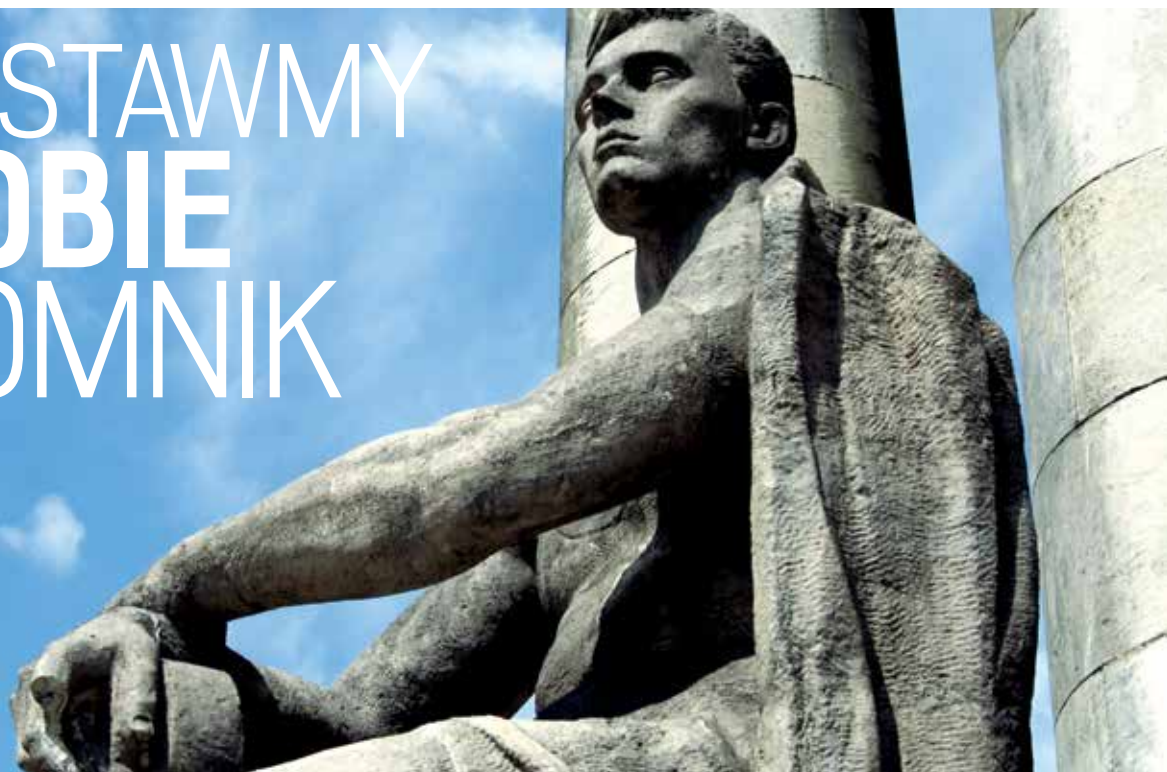
on the basis of a decision
by the German Bundestag

Niemcy
Po prostu przyjazne 



Służą głównie jako tło na fotografii lub punkt zbiórki gołębiego guana. Nasze pomniki są niedoceniane.

POSTAWMY SOBIE POMNIK



W polskich realiach pomniki służą głównie do odsłaniania. Władze miejskie odsłonią, w lokalnej prasie, a da Bóg, to i w telewizji kablowej, się pokażą, potem wieczorny bankiet. A rano kac. Narastający, bo przecież trzeba to szkaradziństwo dzień w dzień oglądać.

Tak było w znanym mi skądinąd Świeciu nad Wisłą, w którym moi mazowiecycy z gruntu rodzice postanowili osiąść na czas jakiś. Na miejskim rynku, niebrzydkiem zresztą, stał tam od zawsze pomnik braterstwa broni. Wiadomo jakiej. Dwóch dżentelmenów, smętnych jak eunuchy strzegące cesarskiego haremu, spoglądało spode łba na me mło-

dzieńcze lata. Czasy przyszły weselsze i trafili na cmentarz żołnierzy rosyjskich. Obaj, bo głupio było dawać tam tylko Ruska, a Polaka zostawiać. A miejsce pomnika zajął monument rodzącego się kapitalizmu, czyli wielka buda, zwąca się dumnie cafe barem.

Smród przypalonych zapiekaneek i smak przesłodzonych ciastek z kremem symbolizowały owo miasteczko przez te kilkanaście lat, aż wreszcie postanowiono postawić nowy, ciut bardziej tradycyjny pomnik na miarę naszych możliwości. Powstało dzieło abstrakcyjne nieco, ale symboliczne, ponadczasowe rzekłbym nawet. Padło na coś przypominające drzewo. Na oko lipę. I to ciężką lipę.

I tu trzeba powiedzieć, że większym

sprytem wykazali się władarze Rzeszowa. Oni swego pomnika braterstwa nie mogli przenieść na cmentarz, bo – z racji specyficznego kształtu – uznano by to całkiem słusznie za tegoż cmentarza profanację. Zostało więc owo kuriozum w centrum miasta i choć nie ma już braterstwa, to Rzeszów ma wciąż największą waginę świata. O dziwo, nie stała się ona jakimś szczególnym magnesem turystycznym. Hm, do hamburskiego St. Pauli ciągną tłumy, do amsterdamskiej dzielnicy czerwonych latarni również, a tu ani jednej wycieczki? Może Państwo będą pierwsi?

Nie sądzę, by rzeszowska wagina stała się popularnym miejscem spotkań, bo do tego również służą pomniki. Tak jest w Krakowie, gdzie zawsze można

umówić się (zwłaszcza jeśli jest się nieobeznanym z miastem turystą) pod pomnikiem Adama Mickiewicza. A może Mickiewicza, nie pamiętam, obaj wielcy. Wygodne są także pomniki – ławeczki w Łodzi, na londyńskiej Bond Street, na warszawskim uniwersytecie czy w setce innych miejsc. Chyba wyłącznie do umawiania się służy pomniko-fontanna faceta z widłami na gdańskiej Starówce. O dziwo, nie jest to Lech Wałęsa. Łączy te miejsca jedno – tubylcy omijają je szerokim łukiem, za to turyści traktują jako nader przydatny punkt orientacyjny.

Delikatna sprawa to pomniki Jana Pawła II. Każde miasto, a i większe sióło chce mieć własny, co zresztą łatwo zrozumieć, bo Polacy swego papieża kochają. Mnożą się więc jego monumenty z gipsu i szlachetniejszych kruszyw, dzieła monumentalne i skromniejsze, bardziej symboliczne i dosłowne. Wszystko można o nich powiedzieć, ale nie to, że są ładne, oj nie.

W czerwcu 1999 roku władze Siedlec wpadły na dość orientalny pomysł, by pomnik Jana Pawła II odsłonił odwiedzający to miasto... Jan Paweł II. Zdecydowany sprzeciw Watykanu plan ten znieweczył, ale uparci władarze podlaskiego

grodu wykoncypowali, że w takim razie papież monument ów, nie wysiadając z samochodu, pobłogosławi i poświęci. I tu też Watykan nie dał się przebłagać. Postanowiono więc zażyć Jana Pawła II z innej mańki i tak poprowadzono trasę jego przejazdu z lądowiska dla helikoptera na miejsce mszy świętej, by prowadziła koło pomnika. Szach i mat.

Czyżby? Jakież było zdziwienie siedlczan, kiedy papamobile rzeczywiście koło pomnika przejechało, ale znacznie, znacznie szybciej niż w innych miejscach. To papież, który dowiedział się co knują jego rodacy, osobiście o tym zdecydował. W dodatku dostoyny gość demonstracyjnie odwrócił się i błogosławił ludzi po drugiej stronie ulicy...

Muszę przyznać, że spośród pomników polskich największe wrażenie zrobił na mnie ten w Ciechanowie. W tym niegdyś wojewódzkim mieście straszy blaszany zmutowany orzeł, a raczej krzyżówka orła z samolotem z filmów science fiction z początku lat 80. Ten twór na granicy ornitologii i literatury fantasy symbolizuje – a wiem to oczywiście z podpisu – a jakże, zwycięstwo nad hitlerowskim najeźdźcą. Każdemu szczerze polecam, bo drugiego takiego cuda

mogą Państwo długo nie znaleźć.

Ciechanowskie arcydzieło jest słuszne – Państwo wybaczą – jak jasna cholera, więc wszelką zawieruchę historyczną przetrwa. Taki sam los, czyli niestety przetrwanie, czeka koszmarny pomnik Powstania Warszawskiego w stolicy. Jego historia jest burzliwa, dość powiedzieć, że w latach 80. doszło przy okazji jego budowy do paradoksalnego odwrócenia ról. Oto komunistyczni władarze miasta, korzystając z protektoratu gen. Jaruzelskiego, parli do jego powstania, a opozycyjni, solidarnościowi, kombataneci wręcz przeciwnie. Efekt do dziś boli oczy. Zmienia się to tylko w okolicach Bożego Narodzenia, kiedy tuż przy pomniku staje żywa szopka. Nie wiem, które z przebywających tam szlachetnych zwierząt bardziej symbolizuje twórców: osioł czy baran?

A propos zwierząt, to piękny pomnik widziałem na drodze wiodącej z lotniska w Lusace do centrum. W otoczeniu uprawnych pól, obsadzony kwiatkami stoi sobie pomnik... hipopotama. Niestety, wystarczy bliżej podejść, by okazało się, że ów hipopotam jest zwyczajną krową. No i widziałem też dziesiątki Leninów, ale o nich innym razem. ◯

Poznaj Świat Reklamy!

Naszym Klientom, firmom o najszerszych horyzontach oferujemy najwyższy poziom współpracy:

- branding punktów sprzedaży
- branding flot – samochodów w całej Polsce
- produkcje drukowane i wizualne
- kampanie billboardowe

Przewiany, przemoczony i wyczerpany całodniową jazdą w zacinającym deszczu, stoję na parkingu w małej, kanadyjskiej miejscowości Chetwynd. Ze zmęczenia nie mam siły myśleć, szukać, pytać. Zresztą, wkoło nikogo nie ma. Nikt tu przecież nie chodzi, wszyscy mają samochody. Kładę rower na betonie i zaczynam rozbijać namiot na parkingu pełnym ogromnych, siedmioosiowych ciężarówek...

Piotr Strzeżysz

ZAWÓD:

Wtórczykij



FOT. POIR STRZYŻYŚZ



Darmowy nocleg? Darmowe jedzenie?
Przez pięć dni? Zebrałem rzeczy i pojechałem.

CZYSTO, CIEPŁO, SUCHO

Minuta pedałowania i stoję przed The Red Lion Restaurant. Idę za budynek, zgodnie ze wskazówkami życzliwego typa z parkingu. Nad drzwiami czerwony krzyż, obok tabliczka – Shelter. Na korytarzu stoi pani o skośnych oczach i pyta łamanym angielskim:

– Shelter? Schronienie?

– Yes, yes, please, dzień dobry, przyjechałem rowerem, jestem bezdomny, szukam pracy, jestem z Polski, tam bardzo ciężko, chciałem się rozbić na parking, ale jakiś pan mnie tu skierował...

– I am busy now – przerywa w pół zdania.

– Jestem teraz zajęta, później albo jutro, ty tutaj – mówi, wskazując ręką pokój, w którym najwyraźniej już ktoś się zameldował.

Coś tam jeszcze próbowałem popytać, pełen obaw jak to będzie, ale w końcu machnąłem ręką i zostawiłem kobietę w spokoju. Rozejrzałem się: czysty, ciepły, suchy pokój. Łóżko. Stolik. Dwa krzesła. Gniazdko elektryczne. Za jakiś czas pani weszła do pokoju z czystym ręcznikiem i jakimś papierkiem:

– No alcohol, no tobacco, no girls – ostrzegła.

– Tu wypełnić – dodała.

Jasne – żadnego picia, palenia i świntuszenia. Papier zaraz wypełnię i pani odniosę. Kilka rubryk. Imię, nazwisko, partner(ka), dzieci, adres, zawód. Przez chwilę zastanawiam się nad ostatnią kratką z zawodem. W końcu wpisuję: włóczykij.

Kiedy zrzucam rzeczy z roweru, podchodzi człowiek w podobnej do mojej, odblaskowej kamizelce:

– Hi dude, szukasz noclegu? Meksykanin?

– Nie, Polak. Już nie szukam. Tutaj śpię.

– E, co ty gadasz, dude, tu cię rozjadą. Jak szukasz noclegu, idź do Czerwonego Lwa, tam cię przenocują, dadzą jeść...

Coś tam jeszcze dodaje, ale nie do końca go słucham, bo nie mam nastroju. Robię swoje, ale nagle z jego paplaniny wyławiam: free i no money.

– Zaraz, zaraz. Jakie free, jakie money?

– Joł, man, tak jest, dude, powiesz, że jesteś bezdomny, że nie masz pracy. Albo że cię wyrzucili i szukasz roboty. I powiedz, że jesteś z Meksyku.

– Mówię raz, jeszcze, że jestem z Polski.

– Z Polski? To brzmi jeszcze lepiej. Powiesz, że jesteś z jakiejś Polski, że u was bardzo ciężko, nie ma pracy, że wyjechałeś, jesteś teraz bezdomny i szukasz roboty w Kanadzie. Pod Czerwonym Lwem dostaniesz łóżko i jedzenie. I możesz u nich siedzieć okrągłe pięć dni. Placi za to rząd. Serio. Zabieraj się stąd, bo cię rozjadą...



FOT. POTR. STRĘŻYSZ

PRZYSTANEK ALASKA

Na południe od miejscowości Tok.

Tak znalazłem się w noclegowni dla bezdomnych, gdzie poznałem współlokatora – George’a. Wszedł z rumorem, ciągnąc za sobą siaty, puste butelki w reklamówkach i inne, potrzebne do przeżycia przedmioty. Zabrałem od niego adresy kolejnych noclegowni i dowiedziałem się, jak sobie radzić z misiem.

CO ZROBIĆ Z CZARNYM NIEDŹWIEDZIEM

Misiami straszili mnie wszyscy spotykani po drodze „tubylcy” od samego początku podróży, którą rozpocząłem późną jesienią 2011 roku. Zacząłem ją w Anchorage na Alasce i kontynuowałem przez Kanadę, jadąc na południe, wzdłuż pasma Kordylierów. Ciężko było mi wyobrazić sobie konfrontację z misiem. Miałem co prawda specjalny spray na niedźwiedzie, ale on działał tylko na grizy. A co zrobić na przykład z niedźwiedziem czarnym? Tego właśnie dowiedziałem się od George’a.

– Trzeba z nimi walczyć wręcz. Kiedy uszatek próbuje nas uderzyć, należy zastonić się lewym ramieniem i dać się zadrapać, albo ugryźć, albo cokolwiek, i kiedy pocujemy, że ramię zostało już złożone w ofierze, należy szybkim ruchem wbić misio-
wi nóż w szyję. Nie w serce, bo nóż może utkwąć między żebrami...
Powtórzmy: czarny atakuje, my zasłaniamy się ramieniem; czarny

je kąsa – my szybkim ruchem wbijamy nóż w szyję, po czym wyjmujemy nóż i dźgamy go jeszcze kilkakrotnie, nawet wtedy, gdy już nic nie widzimy, bo sikająca krew zalewa nam oczy. Czarny pada – przecieramy oczy i jedziemy do szpitala, żeby zobaczyć, czy jeszcze da się coś zrobić z naszym ramieniem. Uff. Potem martwego misia można już zabrać do domu, albo też zostawić krukom na pożarcie.

Wdzięczny byłem za przyspieszony kurs samoobrony, ale do walki wręcz z niedźwiedziem, na szczęście, nie doszło. Raz spotkałem mamę z dwójką małych na polanie, ale czmychnęła, kiedy tylko mnie zwęszyła. Innym razem z lasu wypadł mały niedźwiadek,

GORĄCE POWITANIE ZIMY

Pierwsze opady śniegu dogoniły mnie w Kanadzie na terytorium Jukonu, na południe od Fort Nelson.



FOT. POTR. STRĘŻYSZ



POCZTÓWKA Z KANADY Vancouver – miasto z trzech stron otoczone przez wodę.

kiedy kończyłem rozkładać namiot. Kilka dni później, w miejscowej gazecie „Alaska Highway”, czytałem o mamie, którą ktoś zastrzelił, zostawiając małego. Teraz miś biega samopas i jest problem, co z nim zrobić. Kilku miejscowych, którzy widzieli uszatka, chce go złapać i oddać do ośrodka adaptacyjnego dla osieroconych misiów, aby go tam dokarmić i gdy podrośnie, przywrócić do normalnego życia

w lesie. Naukowcy twierdzą jednak, że takie próby kończą się tym, że misie przyzwyczajają się do człowieka i pozbywają wrodzonego przed nim lęku. Często potem utożsamiają ludzi z łatwym dokarmianiem, przez co stanowią realne zagrożenie dla turystów. Fed bear is a dead bear, jak mawiają miejscowi. Czyli uszatek dokarmiony, to właściwie uszatek stracony.



JA WAM MÓWIĘ, JEST DOBRZE, JEST DOBRZE...

Alaska Highway jest częścią autostrady panamerykańskiej, która łączy kraje obu Ameryk, od północy Alaski, aż po południe Argentyny. Długość całej trasy, liczonej od kręgu polarnego na Alasce do miasta Ushuaia w Argentynie, wynosi około 25 750 km.

FOT. P. D. STRZELCZY



FOT. POŁA STRZĘSZ

NIE DALEKO OD SZOSY

Zaszczepiony lęk przed niedźwiedziami kazał mi szukać noclegów blisko zabudowań. Tych, niestety, było jak na lekarstwo. Często nocowałem przy opuszczonych motelach, nieczynnych stacjach benzynowych i przydrożnych zajazdach. Pozabijane deskami okna i zięjące pustką, popsute dystrybutory stanowiły świadectwo pogrzebanych marzeń i nadziei na dobrze prosperujący biznes. Jeszcze kilkanaście lat temu przydrożnych moteli i zajazdów było więcej. Obecnie, ulepszona i ciągle poprawiana nawierzchnia, nowe mosty, szersze i bezpieczniejsze zakręty sprawiają, że w ciągu dnia turyści są w stanie pokonać o wiele dłuższe odcinki trasy. Nie muszą zatrzymywać się na noclegi. Poza tym, wielu z nich przyjeżdża teraz domami na kółkach i woli nocować we własnym łóżku.

Droga, którą pokonywałem rowerem z Alaski do Kanady, znana jest jako Alaska Highway. Biorąc pod uwagę olbrzymie trudności terenu, bagna, mokradła, wysokie przełęcze górskie, jeziora i rzeki, trasa ta, o długości 2650 km, została zbudowana w rekordowo szybkim czasie, bo zaledwie ośmiu i pół miesiąca. Budowę rozpoczęto w marcu 1942 r., a realizowano ją z dwóch stron: od Dawson Creek (mila 0) oraz na południe od Big Delta w Alasce. Historyczne spotkanie obu odcinków nastąpiło 23 października 1942 r. w Gutact Creek (mila 588).

Obecnie Alaska Highway nabrała szczególnego znaczenia ze względu na rosnący ruch turystyczny na daleką północ, zwłaszcza z USA. Rząd kanadyjski wydaje na ten cel rocznie ponad czterdzieści milionów dolarów – na utrzymanie, konserwację, naprawy

i przebudowę starych odcinków drogi, skracanie luk lub nawet przeprowadzanie drogi inną trasą. Na skutek tego, historyczne punkty odległości, odmierzane milami od Dawson Creek, nie odpowiadają już odległościom rzeczywistym.

Po pokonaniu Alaska Highway wjechałem ponownie do USA, gdzie spodziewałem się dróg bardziej bicycle friendly. Niestety, przyjazne rowerom drogi i ścieżki prowadzone były tylko w miastach albo na ich obrzeżach. Stara autostrada numer 99, która biegnie z północy na południe, urywała się czasem niespodziewanie albo dołączała do nowej autostrady nr 5. Dość często musiałem więc nadkładać drogi, szukając innych możliwości przemieszcza-

AMERYKA OD KUCHNI

Poranek z mieszkańcami miasteczka Mina w Nevadzie.



FOT. POŁA STRZĘSZ



nia. Przez to, a właściwie dzięki temu, trafiałem niekiedy w miejsca, których inaczej nigdy bym nie odwiedził. I miałem zdecydowanie więcej okazji niż w Kanadzie do porozmawiania z ludźmi. Zdarzało się, że zwykłe pytanie o drogę owocowało zaproszeniem do domu i kolacją.

POGAWĘDKI PRZYDROŻNE

W trochę mniej komfortowych okolicznościach poznałem Chrisa – postawnego mężczyznę, który prawie rozjechał mój rozstawiony w lesie namiot. Chris jest kowbojem, ma trzech synów i nie znosi komunistów. Omal mnie nie ustrzelił, kiedy dowiedział się, że jestem z Polski. – *To dlatego nikt nie chciał cię wpuścić do domu i ugościć* – wyjaśniał przy kolacji. – *Mysleli, że chcesz się niedaleko osiedlić,*

i że zaraz za tobą przyjedzie rodzina, a potem będziecie szerzyć komunizm...

Siedząc przy ciepłym piecu i pijąc kolejną double shot coffee o kryptonimie CEO – Carribou Eyes Opener (w wolnym tłumaczeniu: kawa o podwójnym uderzeniu, po której oczy wychodzą z orbit), dowiedziałem się wielu pożytecznych rzeczy o świecie i ludziach. Na przykład, ilu Polaków potrzeba do przykręcenia żarówki.

– *Czterech. Jeden trzyma żarówkę, a trzech kręci drabinę. I że Meksykanie są w porządku, a Chińczycy to spekulanci, którzy niedługo zrobią z Ameryki swoją nową prowincję, uzależnioną ekonomicznie.*

Jadąc przez Stany, żywiłem się głównie w tanich barach, takich jak McDonald's, gdzie porcje były naprawdę ogromne, a przy stoli-

W DEPRESJI

Dolina Śmierci to największa na półkuli zachodniej depresja. Jej najniższy punkt znajduje się 86 m p.p.m. Jest to zarazem najbardziej suche miejsce Ameryki i jedno z najgorętszych miejsc na Ziemi.



FOT. PIOTR STRZEŃSZY



FOT. P. OIR. STRAZASZ

kach zawsze znalazł się ktoś chętny do rozmowy. Degeneraci, życiowi nieudacznicy, byli weterani albo po prostu bezdomni, którzy często sami wybrali takie życie. Jak Levi, co służył w Afganistanie, z którym ucinam sobie barową pogawędkę. Nie wiem za bardzo, o co go pytać, więc zaczynam grzecznościowo, że wy tu, w Stanach, macie prawie wszystko...

– *Yes, we are blessed* – mówi Levi – *God bless America.*

Ale potem przechodzi do życia:

– *I can't live normal life. Żona odeszła, miał wyrok, wkrótce po tym, jak wrócił z wojny, bo ktoś pobił. Narkotyki. A po odsiadce ciężko o pracę. Ale jakoś daje radę, mieszka w LA, a w Kalifornii ciepło. Tutaj właśnie odwiedza kolegę, a jutro jedzie do mamy, na święta.*

ŚWIĘTA, CZYLI WJECHANIE NA MINĘ

Święta w Stanach zaczynają się już pod koniec listopada, zaraz po Święcie Dziękczynienia. Wszędzie stroiki, Mikołaje, ozdoby. Tydzień przed moim przyjazdem do Reno, w centrum miasta odbył się bar crawling, podczas którego masa ludzi przebranych za santas chodziła od baru do baru i śpiewała kolędy – takie listopadowe trick or treat, tylko że w wersji dla dorosłych. Mikołaje były wszędzie. Przed każdym sklepem, punktem usługowym, bankiem, pocztą – coraz więcej santas. Czasem miałem problemy z odróżnieniem – prawdziwy on czy sztuczny?

Zdecydowanie największe wrażenie zrobił na mnie Santa hula-hoop. Jechałem przez

miasteczko o nazwie Mina i rozglądałem się za miejscem na późne drugie śniadanie, aż zobaczyłem nagle Mikołaja kręcącego hula-hoop. Machał do mnie przyjaźnie. Zatrzymałem się, żeby popatrzeć. Mikołajem okazała się siedemdziesięcioletnia kobieta, Laura, która akurat tego dnia nie miała nic ciekawszego do roboty i postanowiła uprzyjemnić dzień kierowcom, wychodząc na ulicę i pozdrawiając przejeżdżające samochody. Zostałem zaproszony na kolację, przedstawiony mężowi, który miał być gburem, a okazał się fantastycznym człowiekiem. Rano zabrano mnie na śniadanie do miejscowego pubu i przedstawiono kolegom i koleżankom, jako żywy eksponat, który właśnie przyjechał rowerem z Alaski i zmierza do Las Vegas.

W okolicy zostali już sami starsi ludzie – wszyscy młodzi uciekli do miasta. Chociaż Mina stwarzała wrażenie dziury odciętej od świata, to jednak zauroczyła mnie jej atmosfera; ten charakterystyczny dla prowincjonalnych miasteczek brak pośpiechu, łagodne pogodzenie się z losem, wspólnotowa przyjaźń, gościnność i szczerłość mieszkańców.

Kilka dni później byłem już w Las Vegas – w morzu świateł, razem z wielkomiejskim pośpiechem, gwarem, hałasem. Tam zakończyłem moją trzymiesięczną podróż, przejechawszy sześć i pół tysiąca kilometrów. Przy ogromnych przestrzeniach obu krajów, które pokonałem, moje wrażenia i przeżycia to zaledwie kropla w morzu tego, co kryją jeszcze tamtejsze światy i krajobrazy. Te, które można odhaczyć na mapie i te, które da się odkryć w drugim człowieku. ○

U.S. ROUTE 95, NEVADA

Autostrada nr 95 ma długość 2 533 km i biegnie przez 5 stanów: Arizone, Kalifornię, Nevadę, Oregon i Idaho.



ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Wywiad z Robertem Jansonem – kompozytorem, muzykiem, producentem, aranżerem, liderem zespołu Varius Manx

Marek Szpendowski: Rozmowa z rockowym i popowym muzykiem powinna oscylować wokół tematu sex, drugs and rock'n'roll. Zaskoczeniem może dla Ciebie będzie, że chcę porozmawiać o naszych pielgrzymkach do miejsc świętych.

Robert Janson: Teraz ja Cię zaskoczę, bo nie ma w tym dla mnie nic dziwnego. Ja jestem przede wszystkim kompozytorem, zamykam się w swoim świecie ciszy i myśli, żyję obok świata artystycznego. Nieco z boku. Tak wybrałem i tak mi dobrze. To jest moja pasja i praca.

Zacznijmy od wyprawy do pierwszego miejsca naszej pielgrzymki – sanktuarium św. Ojca Pio. Kim jest dla Ciebie ta postać?

To mój patron. Tak to odczuwam. Towarzyszy mi on od ponad 20 lat. Jest zawsze ze mną w postaci zdjęć i amuletów. Myślę, że czuję tę postać całym sobą. Pierwszy raz wraz z żoną pojechałem do jego sanktuarium w październiku 1999 roku; drugą pielgrzymkę do San Giovanni Rotondo odbyliśmy z tobą. Za każdym razem mam inne spostrzeżenia i nowe odczucia. Podziwiam go za to, jak żył i w jaki sposób oferował ludziom swoją miłość i chciałem mu także podziękować od siebie. Nie zaliczaliśmy się do grona ludzi, którzy stali w kolejce, żeby zobaczyć jego zmumifikowane ciało. Obecność tam przeżywaliliśmy bardzo duchowo.

Druga nasza pielgrzymka była połączona z tą pierwszą na wiele sposobów. Był to Watykan, gdzie pojechaliśmy na premierę filmu „Świadectwo” o papieżu Janie Pawle II, dla którego Ojciec Pio był bardzo istotną postacią. Znamy historię uzdrowienia znanej Jana Pawła II z choroby nowotworowej za wstawieniem świętego, domniemaną przepowiednię, że Karol Wojtyła zostanie papieżem itp.

Przypomnę, że to właśnie Jan Paweł II kanonizował Ojca Pio. Premierę filmu oglądaliśmy wraz z papieżem Benedyktem XVI. Nigdy o tym nie marzyłem, choć jestem katolikiem. Ten pobyt w Watykanie był więcej niż spełnieniem marzeń. Pamiętasz, zwiedzaliśmy również Ogrody Watykańskie. Poznałem wspaniałych ludzi. Wspominamy te piękne chwile wraz z żoną i córeczką.

Do filmu „Świadectwo” napisałeś muzykę.

Jest to jeden ze wspanialszych momentów w mojej karierze.

Fakt napisania muzyki do filmu o najpiękniejszej polskiej postaci był dla mnie formą oddania czci i hołdu papieżowi. Kompozycje napisałem wspólnie z Vangelisem i to kolejny piękny moment. Siedzący obok mnie na premierze Michael York gratulował mi pięknie napisanej muzyki. Możliwość spotkania się z kardynałem Dziwiszem, który był obok Jana Pawła II codziennie, to także wielkie dla mnie wydarzenie. No i wreszcie emocje towarzyszące spotkaniu z obecnym papieżem Benedyktem XVI.

Powiedz o tym coś więcej.

Spotkanie było uroczne. Papież w dwóch słowach powiedział, że muzyka bardzo mu się podoba. To było miłe, bo przecież sam jest bardzo dobrym pianistą i z pewnością na muzyce się zna.



ARCH. ROBERTA JANSONA

Twoje codzienne życie to jednak nie pielgrzymki. Mimo iż jesteś bardzo spokojnym człowiekiem, to nie powiesz mi, że nie uczestniczyłeś w śmiesznych przygodach muzyków.

Oczywiście, że tak. Wiele z nich śmieszyło niestety tylko nas (śmiech). Artyści zwykle są dość roztargnieni. Zdarzyło nam się na przykład, że kierowca zamiast do miejscowości, w której mieliśmy grać koncert, wiozł nas do miejscowości o takiej samej nazwie, tylko w innym województwie, dokładnie w przeciwnym kierunku. Wszyscy zorientowaliśmy się dopiero w połowie drogi. Śmieszne, ale nie dla czekającej na opóźniony koncert publiczności. Może GPS pomoże nam teraz w unikaniu takich pomyłek. ○



[TEMAT NUMERU] AFRYKA. INDIE. ŚWIAT W KRAKOWIE

MODNY KRAKÓW

60 lat
NOWEJ HUTY
wystawy

Wywiady:

ROMANA
AGNEL

TIMOTHY
GARTON ASH

ALEKSANDER
KUDAJCZYK

ALEKSANDRA
POLEWSKA

Helena
MODRZEJEWSKA

Gwiazda prawdziwej wielkości powraca
we wspomnieniach.

ISSN 2080-3648



TYLKO U NAS:

Akupiktura
Sztuka prawie tajemna.

Kraków to najmodniejsze miasto w Polsce i najbardziej znane polskie miasto w Europie. Dowiedz się na czym polega jego fenomen, poznaj ludzi, którzy tworzą jego osławiony klimat, odkryj niesamowitą przeszłość, zobacz unikatowe zdjęcia. To wszystko w każdym wydaniu **miesięcznika Modny Kraków**. Papierowy. Do czytania. Znajdziesz w salonach prasowych.

W INTERECIE NA
www.modnykrakow.pl
www.facebook.com/modnykrakow





Siedem milionów kilometrów kwadratowych australijskiego interioru to wypalona słońcem pustynia, na którą latami nie spada nawet kropla deszczu. Jałowa ziemia pokrywa osiemdziesiąt procent kontynentu. Ekstremalne temperatury obszarów wokół Alice Springs, określanych jako Red Centre, uczyniły z niej outback – ziemię nie dla ludzi: pylistą z okruchami skał bądź twardą, lawową skorupę. Zmuszone przystać na oferowane przez naturę warunki, trwają w niej tylko suche krzewy i drzewa wyglądające na martwe. Jest w tym miejscu jednak coś, co skłania ludzi do przemierzania tysięcy kilometrów: to tajemnicza, otoczona aurą złej sławy, samotna skała.

Krystyna Słomka

ŚWIĘTA GÓRA PRZODKÓW



FOT. KRYSZYNA SŁOWIA



ECHA CZASU SNU

Dla Aborygenów to święta góra, miejsce metafizyczne, czczone od tysięcy lat, związane z wierzeniami o początkach świata, postrzeganiem relacji między ludźmi a przyrodą, zwyczajami i filozofią bytu przodków. Cała odwieczna mądrość pokoleń zawiera się w świętym prawie, przekazywanej ustnie Tjukurpie, według której na Uluru krzyżują się iwara – drogi pośmiertnych wędrowek przodków. Protoplaści Aborygenów mieli postać zwierzo-ludzi, więc na skale spotykają się duchy z plemienia Kuniya – pytonów dusicieli, Kalaya – strusi emu, Liru – jadowitych węży, Lungkata – jaszczurek i jeszcze wielu innych – na szlaku bywa tłoczno. W odległym Czasie Snu, poprzedzającym początek obecnego czasu, dochodziło między nimi do starć, czego dowodem są wyłomy w skale. Nie chcąc zakłócać duchom odwiecznej wędrowki, buszmeni

Tkwi w samym środku bezbrzeżnej pustyni. Widziana z odległości stu kilometrów jest najpierw małym punktem, ale w miarę zbliżania się urasta do gigantycznych rozmiarów: ma 348 m wysokości, 3,6 km długości, 2,4 km szerokości i 9,4 km w obwodzie. Jest równie rdzawoczerwona jak cała otaczająca ją przestrzeń. Rdzenni mieszkańcy Australii zwą ją Uluru.

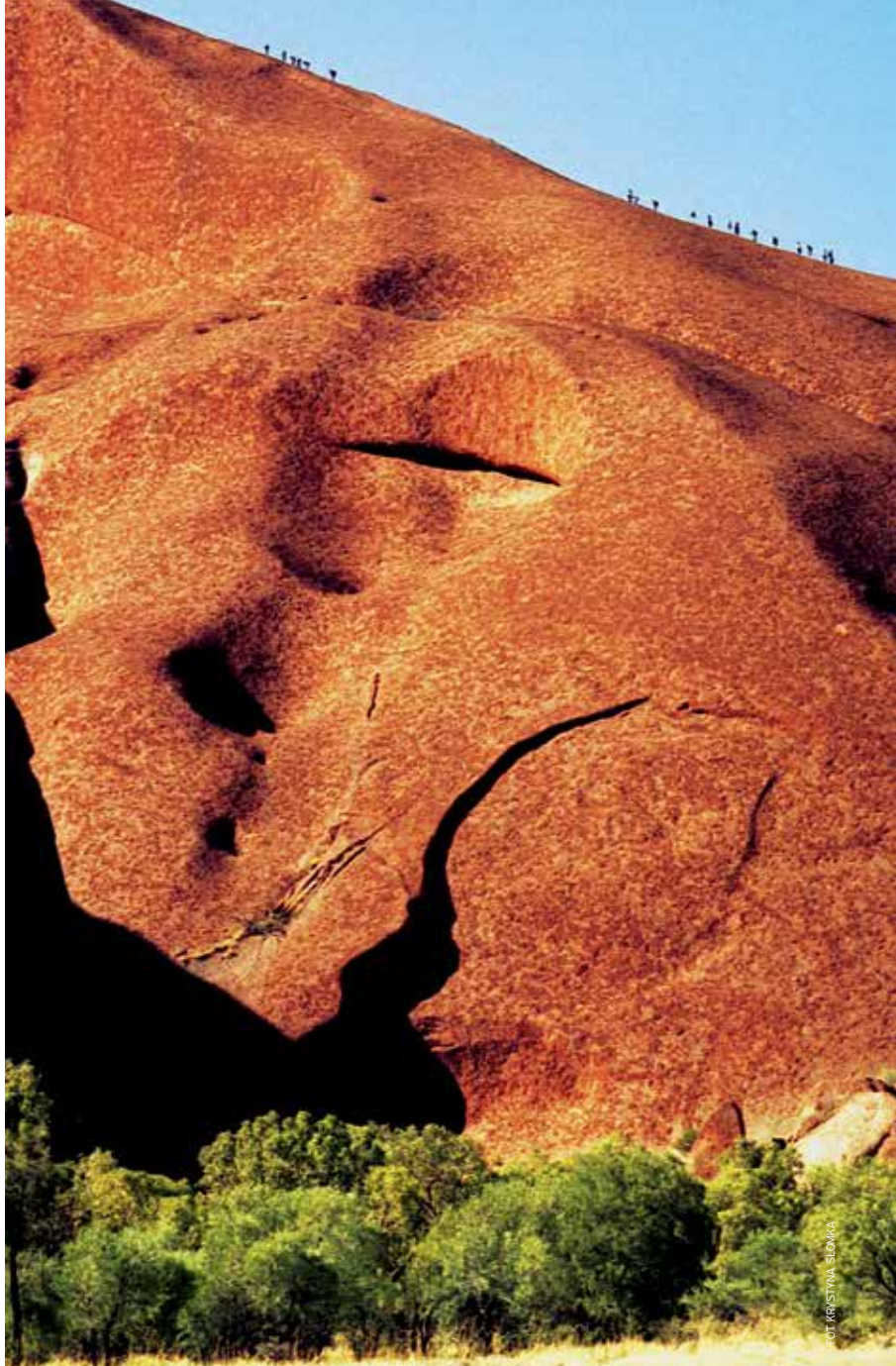
apelują do turystów, aby nie wspinali się na świętą górę. W 1985 roku rząd zwrócił Aborygenom te ziemie. Teraz dzierżawi od nich tereny objęte parkiem narodowym, do którego mają wstęp turyści. Tak więc oficjalnego zakazu deptania góry nie ma, ale sporo przybyszów respektuje życzenie gospodarzy. Być może niekiedy jest to honorowy sposób tłumaczenia się z obawy przed wspinaczką, która jest mozolna i bardzo niebezpieczna.

KOLORY ULURU

Zbudowana z prekambryjskich piaskowców Uluru jest jedną z najstarszych skał Ziemi. Przez długi czas ten monolit uważany był za wyizolowaną górę. Dziś geolodzy dowodzą, że jest ona częścią łańcucha, jaki utworzył się w głębinach ówczesnego wewnętrznego morza. Gdy po milionach lat wody ustąpiły, ruchy skorupy ziemskiej wydzwigniły i sfaldowały dno, stawiając nawarstwienia skał na sztorc. Ten wielki grzbiet o pobrużdżonych zboczach jest zaledwie wierzchołkiem góry zagłębionej w podłożu na co najmniej kilkaset metrów. Z każdej strony zdumiewa jego stromizna: nachylenie gładkich ścian osiąga 80 stopni i tylko w niewielu miejscach jest łagodniejsze.

Terenom wokół Uluru przypisuje się występowanie różnych zjawisk paranormalnych, jak pojawianie się na niebie niezidentyfikowanych obiektów czy znikanie ludzi. Sama zaś skała w zdumiewający sposób wielokrotnie zmienia barwy w ciągu dnia. To właśnie ten fenomen każdego wieczora gromadzi setki widzów. Podjeżdżają samochodami na długo przed zachodem słońca, rozkładają krzeselka, stoliki, chłodzą szampana. Niektórzy w tej oryginalnej scenerii pichcą kolację na kuchenkach polowych, inni z aparatami fotograficznymi w dłoniach zajmują miejsca na dachach samochodów.

Kiedy słońce powoli sięga horyzontu, skała zaczyna się jarzyć. W ciągu dnia wcale nie jest intensywnie czerwona – raczej ciemnopomarańczowa, zaś w cieniu jakby fioletowa. W zachodzącym słońcu z sekundy na sekundę staje się jasnoczerwona, a zaraz potem rozpała się karminem. Stopniowo gasnąc, Uluru raz jeszcze rozbłyska – tym razem żółcią i złotem. Kiedy zaś tarcza słońca opuści firmament, staje



FOT. KRYSZYNA SŁOWKA



FOT. KRYSZYNA SŁOWKA

RDZAWY OLBRYZYM

To dzięki tlenkowi żelaza zawartemu w skale przybiera ona tak spektakularne kolory podczas wschodów i zachodów słońca.



A VIEW TO A KILL

Duchy przodków, upalne temperatury, stromizna i wyślizgane skały powodują co roku śmierć kilkunastu turystów.

się brunatna, brązowa, na koniec szara. Zmiany dokonują się szybko i płynnie. Wtórują im okłaski i okrzyki zachwytu. To wspaniałe widowisko.

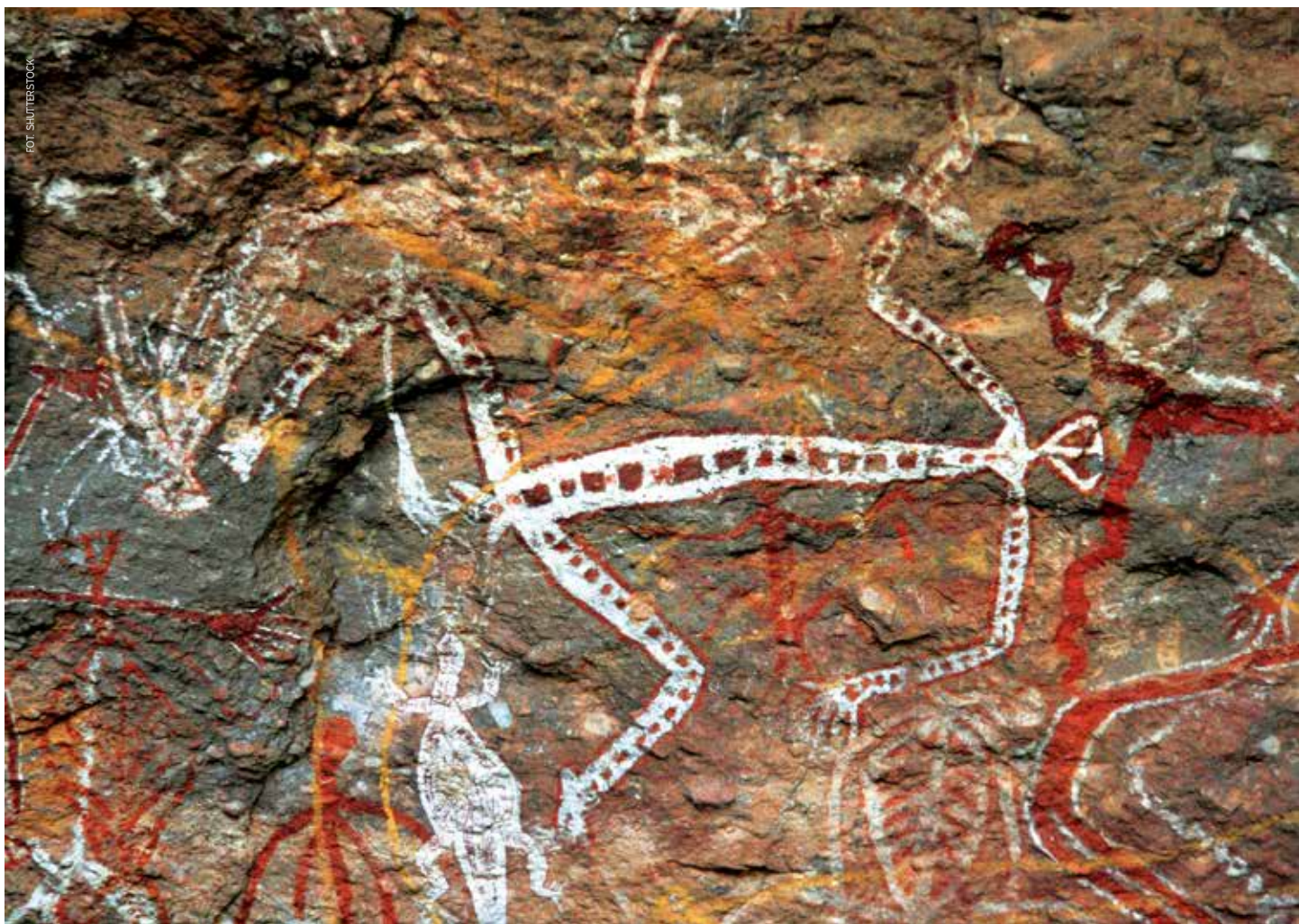
Niewielu oglądających wraca o brzasku, by raz jeszcze obejrzyć zdumiewające metamorfozy. A warto, bo to niby tylko seans w odwrotnej kolejności, ale jakże inny. Wynurzająca się z czerni nocy skała zaczyna jaśnieć wprawdzie fioletem, wrzosem, następnie różem. Gdy słońce, nadrabiając nocne nieróbstwo, pośpiesznie wydostaje się zza linii horyzontu, wykrzesuje z kamiennego olbrzyma wszystkie odcienie purpury.

EKSTREMALNY PORANEK

Ściany Uluru są niemal pionowe. U wejścia na jedyny łagodniejszy stok tabliczki ostrzegają przed ryzykiem: podają ilość śmiertelnych ofiar, wymieniają nazwiska nieszczęśliwych i przyczyny ich zgonów. Były nimi ataki serca i upadki z wysokości. Najczęściej zdarzają się zasląbnienia, więc przy szlaku zamontowano telefony, by można było wezwać pomoc powietrzną. Wspinaczka na odległy, niewidoczny z dołu wierzchołek zajmuje, z drogą powrotną, do trzech godzin. Latem wejście na szlak możliwe jest od godziny piątej, potem – przez wzgląd na wysokie temperatury – wstęp zosta-

ŚWIĘTE GRAFFITI

Uluru, ozdobiona licznymi malowidłami, jest świętym miejscem dla plemienia Anangu.



W sercu pustyni o 5.30 słońce mocno już grzeje. Ale kiedy szlak na Uluru bywa otwarty, wyzwala nieodpartą chęć wejścia na skałę. To przecież clou australijskiej wyprawy.

je zamknięty. Upały australijskiego lata wymagają, aby do godziny 8.30 bezwzględnie opuścić górę. Często się też zdarza, że przez kilka dni szlak w ogóle nie jest udostępniany.



Aleksandra Lech
Biuro Ubezpieczeń
Indywidualnych Ergo
Hestii

Planując wyprawę do krajów tak odległych, jak Australia - gdzie ma się w planach wyprawę górską, która zwiększa ryzyko wypadku - należy pamiętać o podstawowych zasadach bezpieczeństwa, dobrym przygotowaniu i odpowiednim ubezpieczeniu.

Podróżnicy powinni zwrócić uwagę na ewentualne koszty leczenia. Aby ubezpieczenie spełniało rzeczywiste potrzeby, powinno w tym przypadku obejmować NNW, koszty transportu z miejsca zdarzenia, a także usługę assistance. Ubezpieczenie kosztów leczenia pozwoli m.in. na leczenie typowych w przypadku takich wypraw udarów słonecznych, zatruc pokarmowych, ukąszeń, ataków węży lub innych zwierząt. Wypukując polisę powinniśmy sprawdzić czy zakres ubezpieczenia obejmuje sporty, które mamy zamiar uprawiać na miejscu, np. wspinaczkę górską. Czasami jest ona zdefiniowana jako sport wysokiego ryzyka, więc należy dodatkowo zapłacić za rozszerzenie ochrony.

Przed wyjazdem należy pamiętać o szczepieniach, niektóre z nich trzeba wykonać z 6 tygodniowym wyprzedzeniem. Warto mieć przy sobie numer telefonu do Centrum Alarmowego i numer polisy. Osoby chorujące na choroby przewlekłe również powinny rozszerzyć zakres ubezpieczenia o następstwa tych chorób - zwłaszcza w przypadku różnic klimatycznych, wysokiej temperatury, różnic ciśnienia i wysiłku związanym ze wspinaczką.

Chcąc się ubezpieczyć na okres wyjazdu do Australii w Ergo Hestii, klient ma do wyboru 3 zakresy oraz rozszerzenia. W tym przypadku rekomendowana suma ubezpieczenia na koszty leczenia powinna wynieść 50.000 USD. Na tak daleki wyjazd zalecany jest Wariant Pełny Ubezpieczenia (Holiday Charter Plus).



30 MONOLITÓW

W języku aborygeńskim Kata Tjuta oznacza „wiele głów”. Widoczne w oddali skały to dawne miejsce obrzędów religijnych.

Najbardziej forsowny jest pierwszy odcinek skały – bardzo stromy i wygładzony. Wielu rezygnuje już wówczas ze wspinaczki. Od miejsca, gdzie zainstalowano łańcuch, można czuć się pewniej, ale wciąż jest ostro w górę. Widoczni w dole ludzie szybko maleją, a zaraz potem znikają. W którym kierunku spojrzeć, brunatnoczerwona przestrzeń ciągnie się po horyzont. Niezależnie od wieku, wszystkim daje się we znaki brak oddechu i łomot serca. I świadomość: jeden nieostrożny krok...

SPACER Z DUCHAMI

Rezygnujący ze wspinaczki mogą obejść Ulu-ru wkoło. Dziesięciokilometrowy szlak wymaga trzech do pięciu godzin. Wiodąc wzdłuż skały, zagłębia się w zagajniki, których zieleń, o dziwo, jest w miarę soczysta i świeża; skała wylapuje każdą kroplę z 200 mm spadającego na nią w ciągu roku deszczu, a tak mizerna ilość wody musi wystarczyć dla zasilenia miniaturowej niby-oazy. Ścieżka po południowej

stronie wiedzie do niewysychającego jeziora, prawdziwej zagadki tej pustyni. Dalej zaś bezpośrednio bliskość skały, z oddali obłej i gładkiej, ujawnia jej budowę pełną bruzd, pęknięć, załomów i występów.

Grotty pokryte prastarymi malowidłami to miejsca kultu Aborygenów. Jedne przeznaczone są wyłącznie dla mężczyzn, inne tylko dla kobiet. Są ogrodzone i oznaczone. Wejście do nich osoby postronnej, nawet ich fotografowanie, jest niewybaczalną profanacją. Nikt tych miejsc nie pilnuje, tak jak nikt nie zakazuje wchodzenia na skałę. Wędrujące duchy przodków, których szlaki spotykają się na Uluru, same dbają o własną intymność. Bywa, że depreczający „świętą górę” turyści nie tylko odpadają od skały lub doznają zawału, ale umierają po kilku dniach, już w innym miejscu. Zdarza się nawet, że po opuszczeniu Australii giną wkrótce w wypadkach lub spotyka ich ciąg dotkliwych nieszczęść. Aborygeni takich doniesień nie komentują... ○

WYGRAJ ROWER 29"



Cube Analog 29"

WEJDŹ DO GRY

www.kolektyw.bikeboard.pl



dodatkowo **50**
dla graczy
naszych koszulek

regulamin gry na www.bikeboard.pl

Gra o rower i inne nagrody na www.katalog.bikeboard.pl. Udział wyłącznie dla zalogowanych w kolektywie.

hb



Od osób, które przeczytały mój felieton o pani doktor Wandzie Błęńskiej, otrzymałem szereg pytań o jej prywatne życie oraz przygody w Ugandzie, gdzie spędziła 43 lata wśród trędowatych. Sięgnąłem zatem raz jeszcze do zachowanych notatek z opowieści o niej najbliższych jej współpracowniczek; do wspomnień, którymi dzieliła się z różnymi osobami po powrocie do kraju. Wreszcie – do zapisu mojej rozmowy w telewizyjnym „Klubie podróżników”, kiedy po wielu latach zaocznej znajomości mogłem poznać ją osobiście. Wybrałem te fragmenty, w których najczęściej padały słowa: „U nas w Bulubie”.



Kiedy nawiązałem pierwszy kontakt z Wandą Błęńską, rozmawialiśmy przez telefon. Przebywała wtedy, w 1968, na urlopie w kraju, w Poznaniu. Wyjeżdżała nazajutrz do swoich chorych. Tęskniła za Afryką. Wtedy właśnie usłyszałem od niej: „U nas w Bulubie”. Ale Buluby nie zdołałem znaleźć na żadnej z dostęp-

nych w Polsce map. Nic dziwnego, była to mała wioska położona niedaleko źródła Białego Nilu.

Zofia Florczak, przyjaciółka i przez rok pomocnica w ośrodku leczącym chorych na trąd, tak wspominała wtedy jej warunki bytowe: „Wanda mieszkała w oddzielnym, małym, prymitywnie urządzonej domku. Stopniowo powiększał

się on o kuchnię, łazienkę, urządzenia sanitarne i jeszcze jeden pokój. Dzieliła go z gronem nowych lokatorów. Stanowili ciekawy orszak, gdy nasza „dokta” szła do pracy. Tuż za nią kroczył pies, potem kot, a nad nimi krążyło kilka gołąbków. Z czasem pojawiła się małpa. W łazience uwiły gniazdo jaskółki. Pod podłogą zagnieździły się szczury i nietoperze, które

RABAT*
DO 20%

DLA CZYTELNIKÓW
POZNAJ ŚWIAT

SCARPA®
NESSUN LUOGO È LONTANO™

wkrótce otwarcie
sklepu firmowego
SCARPA

ul. Królowej Jadwigi 23
(obok dworca PKS)
NOWY TARG

(*NA WYBRANY ASORTYMENT, KOD RABATOWY SCARPA)

przepędzone zostały przez pszczoły. Wodę przywoziło się na taczkach z jeziora, w którym pływały hipopotamy. Zanim „ucywilizowano” jej warunki bytowe, w swoim ogrodzie spotkała lamparta. A w drewnianej wygodce, wypisz wymaluj takiej jak nasza wiejska sławojka, natknęła się na kobrę”.

A Murzyn zjada te mrówki...

To były już te dobre czasy, mijał 18. rok jej pobytu w Afryce. Najtrudniejsze było początkowe 15 lat. Polska lekarka niewiele wiedziała o Czarnym Łądzie, gdy zawarła z nim znajomość w Mombasie. Stamtąd, przez Kenię, udała się pociągiem do Kampali, a następnie rozklekotanym samochodem do miejscowości Fort Portal, leżącej w pobliżu granicy z Kongiem – u podnóża górskiego masywu Ruwenzori.

Przez rok oswajała się z Afryką, przeżywając niezliczone zdziwienia, niemal od zejścia ze statku. Pierwsze zanotowała w swoim pamiętniku pod datą 6 marca 1950 r.: „Jest gorąco i pot się ze mnie leje. Kupuję wiązki bananów z gniazdem żółtych mrówek. Oddaję ją Murzynowi do oczyszczenia, a on zjada te mrów-

ki...”. Pierwsza noc w pobliżu równika, a nad głową doskonale widoczny nasz Wielki Wóz, zaś po drugiej stronie nieba Krzyż Południa. Obie konstelacje równocześnie. Tak będzie teraz przez kolejne cztery dekady jej życia, o czym jeszcze nie wie. Na razie ma 39 lat. Idzie spać z myślą, że następnego dnia zobaczy najwyższą górę Afryki – Kilimandżaro. Ale nic z tego. Ranek jest pochmurny...

Banany, banany i deszcz

A teraz pierwsze zapisy naszej rodaczki z Fort Portal, gdzie mieszkał biskup, który zaprosił ją do pracy wśród trędowatych. Jest 26 marca 1950 r. Deszcz leje od rana do południa. Dotarła tu wczoraj o 5 po południu. Po drodze boy, przydzielony jej do pomocy, kupił na jakimś straganiku mięso, które tak potwornie śmierdziało, że musieli je wieźć na chłodnicy samochodu, po prostu zatykało. Do placówki misyjnej było 140 mil, a więc ponad 200 km.

Pokoik, w którym miała zamieszkać, okazał się więcej niż skromny. Pierwszy posiłek też nie zachwycał: gotowane po afrykańsku banany i słodkie ziemniaki. Na południu Ugandy małe zielone ba-



Doktor Wanda Błęńska z Janiną Bartkiewicz na równiku w pobliżu Jeziora Wiktorii.

nany, zwane matoko, są podstawowym jadłem. Spożywa się je surowe lub smażone. Nie dziwi zatem inna jej refleksja na początku pamiętnika: „Zgasa radość z przyjazdu do Ugandy”.

W tej części Afryki pora sucha trwa jedynie 3 miesiące. W czasie pory deszczowej spada z nieba do 2000 mm wody. Zbiera ją w dużym stopniu Jezioro Wiktorii, z którego wypływa Nil Wiktorii, jeden z dopływów Nilu Białego, dającego początek największej rzeki Afryki. Przez jezioro, odkryte w 1858 r., przebiega równik. Wanda Błęńska zamieszka nad nim

W 1955 r. przeżyła w górach przykrą przygodę. Poszła z kilkoma przyjaciółmi ścieżkami wydeptanymi przez słonie na długą wyprawę. W pewnym momencie oddaliła się od grupy. Tak opowiadała o tym później jednemu z polskich księży: „Zorientowałam się, że zostałam sama. Nie ma sensu wołać, krzyczeć, bo to dżungla. Usłyszałam szum rzeki, którą około trzech godzin temu przekroczyliśmy. Coś mi mówiło – idź tam na dół. Poszłam i spotkałam resztę naszych. Innym razem, w ciągu jednego wieczoru wpadłam dwa razy do dołu na bawoły i sama się wy dostałam. Anioł stróż pomagał”.

przez chorych na trąd, witała ich „Musibi mutyano!” „Dzień dobry!”. Odpowiadali tak samo, unosząc do góry dłonie. Potrafiła już przeprowadzać z nimi krótkie rozmowy bez tłumacza. Wypisując zlecenia, siadała na łóżku i pytała: „Oli otye?” – „Jak się czujesz?”. Najczęściej słyszała w odpowiedzi „Hnungi” lub „Bulungi”, co znaczyło „Dobrze”. Wtedy zapewniała: „Oijja kuwona bulungi” – „Wyzdrowiejesz”.

Święty Rafale, ratuj!

W Bulubie było cudne jezioro, stanowiące jedno z odgałęzień Jeziora Wiktorii. Zapis w pamiętniku pani Wandy z 2 stycznia 1951 r.: „Podobno są w nim hipopotamy i krokodyle. Nie wiem, czy to prawda. Za to komarów zatrzesienie. Śpiączka jest również”. Czyli strzec się trzeba było przede wszystkim muchy tse-tse.

Na jezioro wybrała się, wbrew ostrzeżeniom, wywrotnym kajakiem. Na brzegu dostrzegła wkrótce wielkiego hipopotama, który odpoczywał pod drzewem, ale na jej widok spełznął do wody. Nagle wynurzył się tuż przed nią, rozdziawiając swą ogromną paszczę. Nie było właściwie czasu na ucieczkę. Ale skrzyła przytomnie w stronę wioski, wzywając na pomoc świętego Rafała, patrona lekarzy. Gdy dosięgła lądu, zobaczyła całe stado hipopotamów, strzygących nad wodą uszami, które z ciekawością przyglądało się jej rejteradzie. Do tej opowieści wracała kilkakrotnie w rozmowach z różnymi osobami, tak silnie ją przeżyła.

Ale zdarzały się sytuacje znacznie bardziej niebezpieczne, jak historia z zieloną mambą, przytoczona w podarowanej mi przez Zofię Florczak książeczce „Dokta”. Pewnego dnia pani Wanda badała w przychodni swych pacjentów, którzy nagle zbledli, to znaczy z czarnych zrobili się szarzy, i wlepiłi znieruchomieli ze strachu oczy w punkt pod krzesłem, na którym siedziała. „Nie ruszaj się!” – krzyknął jeden z nich i uderzył kijem najbardziej jadowitego z afrykańskich węży. Zdążył przetrząć mu kark.

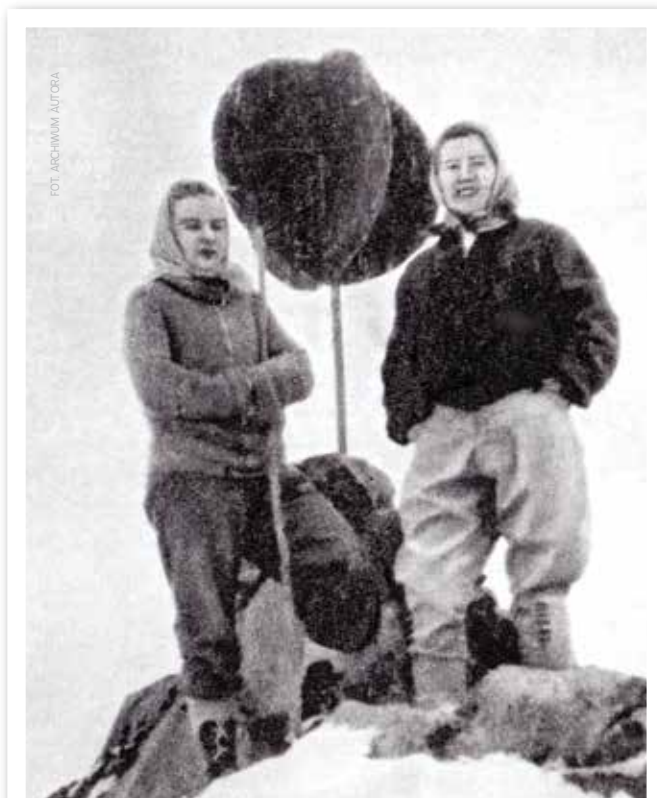
A z lampartem w ogrodzie sprawa wyglądała tak. Posiedział sobie na drzewie, prawdopodobnie czyhał na jej kota lub psa. Zamknęła zwierzaki w domu. W końcu znudził się i wrócił do dżungli. W pamiętniku Wandy Błęńskiej w pierwszym okresie pobytu w Bulubie spotkać można

Oli otye? Jak się czujesz?

U stóp Gór Księżycowych dr Wanda Błęńska zaczęła uczyć najbardziej rozpowszechnionego w południowej Ugandzie języka luganda. Musiała współpracować z ludźmi nieznanymi języka angielskiego, chociaż kraj ten w chwili jej przyjazdu był od ponad 50 lat protektorem brytyjskim. Nawet miejscowe Białe Siostry, które udzieliły jej pierwszej gościny w Kampali, porozumiewały się z nią z trudnością.

Pierwszych miejscowych słów nauczyła się w podróży od boya.

Zapis z pamiętnika, noszący datę 29 marca: „Język jest tak trudny, że nic mi do głowy nie wchodzi, nie wiem jak to z nim będzie”. Potem było już tylko lepiej. W Bulubie zaczęła pojmować język lutoro. Niektórych pacjentów pozdrawiała w języku teso, łatwym do zapamiętania słowem „yoga”. Czyli „Jak się masz?”. Wchodząc do pokoi zajmowanych



Wanda Błęńska oraz Irena Berezowska na szczycie Wiktora Emanuela (4914 m) w Górach Księżycowych.

w 1951 r., w Bulubie, po północnej stronie równika, do którego wozic będzie później swoich gości z Polski. Nie będzie jednak miała na to zbyt wiele czasu. Teraz napawa się widokiem Gór Księżycowych, zaznaczonych na mapie Ptolemeusza w II w. naszej ery. Ale i one wydają się początkowo ciemną ścianą, nie mającą w sobie nic z dzikiej piękności naszych skał. A na przedgórzu tylko banany, banany, banany...

było i takie wpisy: „Lew kręci się w pobliżu w nocy”, „Słonie ryczą po drugiej stronie jeziora i deszcz leje”. Jak to w Afryce.

Warta rozwinięcia jest opowieść o osobistym zwierzyńcu pani doktor. Małpkę, o której wspomniała Zofia Florczak, kupiła od jakichś chłopców. Zdjęła jej z szyi powróz, wysmarowała wytarty brzusek swoimi kremami. Zwierzątko po odzyskaniu wolności skoczyło na drzewo, ale nie uciekło. Zamieszkało w ładnym łóżeczku na werandzie swojej pani. Rano okrzykiem „uhu hu hu” małpa budziła Wandę Błęńską, domagając się śniadania. I jak na przedstawicielkę swego gatunku przystało, była złośliwa. Kradła co się dało, szkodziła jak tylko mogła. Nadgryzała każdy owoc, którego dopadła na talerzu. Nie dość, że ciągnęła panią doktor za spódnice, dokuczała też innym domowym zwierzętom. Pewnego razu porwała jej ulubionego kotka i uciekła z nim na dach. Pokazywała, że rzuci go na dół. Nie zrobiła tego. Aż nagle zniknęła. Może to na nią czyhał ów lampart, który więcej się już nie pojawił? Kiedy dr Błęńska wyszkoliła ugandyjski personel oraz kiedy w Bulubie wspomogli

ją następni lekarze z Polski, mogła sobie pozwolić na poznawanie różnych ciekawych miejsc w tym kraju.

Poznanie Ugandy

Pojechła do Mbarary przez obszerne połacie płonącej trawy. W ten sposób niszczone muchę tse-tse. Zapisuje: „Żar, że aż dusi. Podoba mi się ten pagórzysty, pusty, czarny step. Przynajmniej nie ma bananów i nie ma chat co kilka kroków. Kocham afrykańską pustynię bez ludzi i dopiero wówczas oddycham pełną pierśią, gdy wiem, że mnie nie śledzą dziesiątki czarnych jak węgiel oczu. Czuję się tak, jak leopard lub lew”. Innym razem udaje się samotnie w góry niedaleko Nsambii: „Chyba 40 km. Szłam 8 godzin. Strasznie chce mi się płakać”. Tak odraagowuje stres, nie szczęścia ludzkie, z którymi spotyka się co dzień w pracy.

Teraz coś weselszego: „Jadę z dziewczętami do Bwamby. Rozdzielają się [tutaj] dwa łańcuchy gór, a między nimi głęboka przepaść i wszelkiego rodzaju zwierzę – lamparty, lwy. Droga idzie zbożem na wysokości 200 stóp... Widok

przewspaniały. Zbocza gór to prawdziwa tropikalna dżungla. Kobiety prawie nagie, z jakimś płatkim z przodu i z tyłu, mnóstwem bransolet i ogromnymi żelaznymi obręczami na szyi. Stare pały fajki. Dzieciaki nagie”. To chyba Wielki Rów Afrykański. Na wysokości 2400 stóp biją gorące źródła. „Zrobisz dziurkę w ziemi, zaraz zabulgotuje tam woda. Z gór spływa zimna rzeka i miesza się na dole ze strumieniami ukropu”. Jej pielęgniarce gotowały w tej wodzie kartofle na patyku.

I wreszcie, w 1955 roku, wyprawa najważniejsza: w kilkusobowej grupie, na pokryte śniegiem szczyty Gór Księżycowych w masywie Ruwenzori. Jest z nią jeszcze jedna nasza rodaczka, Irena Berezowska. Były pierwszymi Polkami w tych górach. Zdobyły szczyt Wiktora Emanuela (4914 m n.p.m.). Wpisały się do historii polskich wyczynów wysokogórskich. W wieku 100 lat dr Wanda Błęńska bez zadyszki pokonuje wysokie schody.

Końcówkę felietonu oddają pióro Zofii Florczak: „Na Kilimandżaro nie weszła nigdy. Zabrakło czasu”. ◯

Think wild. Eat civilized!



Dystrybucja: MAKANU www.makanu.com.pl

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

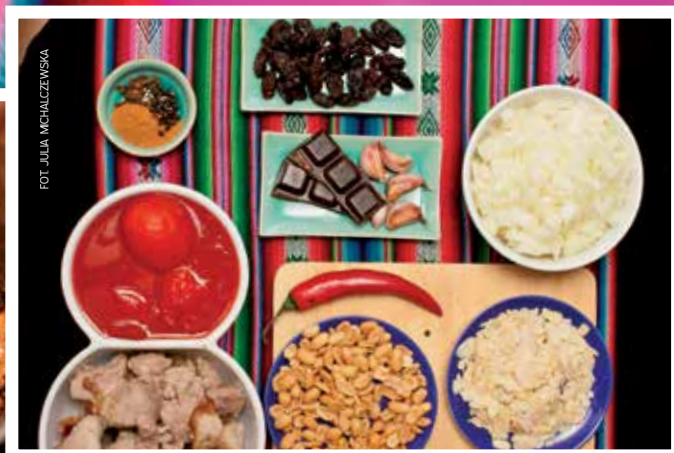
dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Meksykanie są wielkimi miłośnikami sosów, dodają je do większości potraw. Niezwykle popularny sos mole poblano jest ich dumą i chlubą. Można go serwować nie tylko z mięsem, ale również traktować jak dip, np. do tortilli.

Podobno mole poblano pierwszy raz przyrządziły siostry zakonne w XVI wieku w Pueblo. Szukając natchnienia na poczęstunek dla biskupa, który zapowiedział się z wizytą, wrzuciły do garnka wszystko, co miały w klasztorze do jedzenia. W sumie trafiły tam banany, chili, rodzyнки, pomidory, orzechy, cukier, tortille, czosnek, awokado i tuzin różnych przypraw, jak również czekolada. Na ucztę przyrządziły jedynego indyka, jakiego miały, i podały go z tym sosem. Biskup był zachwycony i oświadczył, że jest to najbardziej wykwintne danie, jakie kiedykolwiek jadł.



Przepis nadesłała:
Pani Tatiana

KURCZAK W MEKSYKAŃSKIM SOSIE MOLE

SKŁADNIKI (dla 4-6 osób):

czas przygotowania: 1 godzina

1,5 kg udek kurczaka (10 szt.)
3 szklanki wody
3 ząbki czosnku
sól, zmielony pieprz

SOS:

olej
450 g pomidorów w puszcze (1 puszka)
2 średnie cebule, drobno pokrojone
4 pokrojone ząbki czosnku
8 goździków
0,5 łyżeczki cynamonu
5 papryk chili (zielonych i czerwonych)
60 g płatków migdałów
50 g orzeszków ziemnych (mogą być solone)
20 g rodzynek
6 ziaren czarnego pieprzu
6 kawałków (1/3 tabliczki) gorzkiej czekolady
łyżka cukru
sól do smaku
sezam do posypania

Udka umyć, włożyć do brytfanki, natrzeć solą, pieprzem, drobno posiekanym czosnkiem i podlać wodą. Wstawić do nagrzanego do 180 ° C piekarnika i upiec (ok. 50 min) od czasu do czasu polewając sosem spod kurczaka. Sos odcedzić i odstawić. Z chili wyjąć nasiona i pokroić. Na patelni rozgrzać olej, podsmażyć chili, przełożyć do miski, zalać wrzątkiem i odstawić na ok. 20 min, następnie zlać wodę. Podsmażyć pokrojoną drobno cebulę na złoty kolor, dodać czosnek, orzeszki ziemne, płatki migdałów, goździki, pieprz, cynamon i podsmażyć jeszcze 2-3 min.

Następnie wszystko zmiksować wraz z rodzynkami i odsączonymi papryczkami chili, dodać pomidory z puszki i jeszcze raz zmiksować. W dużym rondlu rozgrzać ok. 3 łyżki oleju, dodać wszystkie wcześniej zmiksowane składniki, wymieszać i dusić ok. 5-7 min. W miarę gęstnienia dolewać sos spod kurczaka. Dodać cukier i startą czekoladę, doprawić solą i gotować jeszcze 5-7 min. Można do sosu włożyć upieczone kawałki kurczaka i podgrzać 3-4 min lub polać kurczaka częścią sosu, a pozostały sos – podać w sosjerce. Potrawę posypać sezamem.

Majowo - rowerowo

Weekend majowy to dla wielu osób pierwsza okazja do dłuższych wycieczek czy kilkudniowych wypraw rowerowych. Część z nas wystartuje w zawodach kolarskich, które wymagają już sprzętu odpowiedniej jakości. Warto więc zapoznać się z obecnymi w tym sezonie trendami. Producenci sprzętu i odzieży rowerowej oferują w tym roku naprawdę ciekawe produkty.

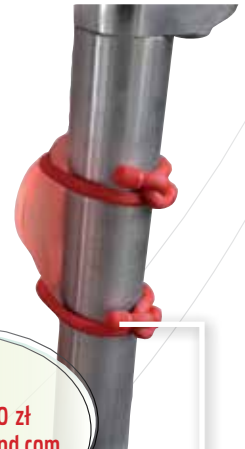


Cena: 4099 zł
www.aljot.pl

TRIGON MTB 29 MQC10

Wyczynowa rama karbonowa stworzona z myślą o wyścigach XC i maratonach, a także dla wymagających amatorów tego sportu.

Do jej produkcji użyto najwyższej jakości włókien karbonowych dla osiągnięcia wysokiej wytrzymałości i niskiej wagi. Rama posiada trapezowy przekrój rur, adapter hamulca tarczowego Poust-Mount. Rama w rozmiarze 17,5 waży 1300 g.



Cena: 42,50 zł
www.esmpoland.com

NITEIZE TWISLITE

Uniwersalne oświetlenie rowerowe wykorzystujące technologię GearTie. Jednym ruchem nadgarstka przymocujesz lub zdemonujesz oświetlenie z kierownicy bądź wspornika siedziska. Wysoce wydajna dioda LED zapewnia 100 tys. godzin ciągłej pracy, a wymienne baterie CR2016 pozwalają na świecenie do 25 godzin w zależności od trybu. Dostępne z białą i czerwoną diodą LED.

NAXA BX1 B 'INMOULD'

Bardzo lekki, a zarazem wytrzymały kask rowerowy z odpinanym daszkiem oraz systemem precyzyjnej regulacji rozmiaru w tylnej części. Waży ok. 270 g., a występuje w rozmiarach M (55-58 cm) i L (58-60 cm).

Marka Naxa od lat zdobywa doświadczenie w branży motoryzacyjnej, produkując kaski motocyklowe.



Cena: 99 zł
www.naxa.pl

Cena: 50 ml 19 zł
400 ml 39 zł
www.muc-off.pl



MUC-OFF DRY CHAIN LUBE

Jest to wszechstronny smar, stworzony, by sprostać ekstremalnym obciążeniom, jakim poddawany jest napęd we współczesnym rowerze. Smar ten posiada świetne właściwości penetrujące. Doskonale sprawdza się w zmiennych warunkach pogodowych. Zaawansowana formuła „Dry” tworzy trwałą powłokę, która hamuje rozwój rdzy oraz korozji. Smar posiada wyjątkowo niski współczynnik tarcia, zapewniając niezwykle płynną zmianę biegów oraz doskonałe działanie całego napędu przez długi czas. Smar ulega pełnej biodegradacji.

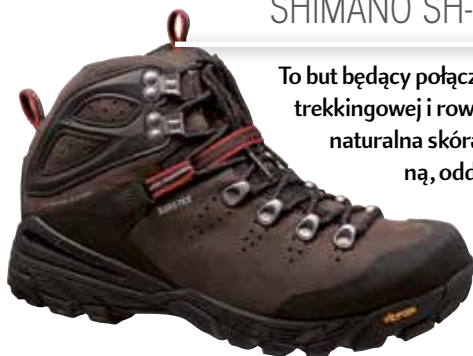
KENDA K1080 SLANT SIX

Rasowa opona do jazdy w maratonach i zawodach XC. Zaprojektowana przez Johna Tomaca dla większej szybkości, przyczepności i pewności na zakrętach. Mieszanka dwóch rodzajów gumy: L3R PRO w środkowej części zwiększa trwałość bieżnika, a Stick-E na krawędziach poprawia przyczepność. Opona występuje w wersji 26” i 29”.



Cena: 26” 125 zł
29” 115 zł
www.aljot.pl

SHIMANO SH-MT91



To but będący połączeniem najwyższej klasy technologii trekkingowej i rowerowej. Zewnętrzną warstwę stanowi naturalna skóra (nubuk) w połączeniu z wodoodporną, oddychającą membraną GORE-TEX®.

Gumowe wzmocnienia palców i pięt zapewniają ochronę i trwałość. Mocny minipasek oraz dwa rzędy haczyków na sznurówki solidnie trzymają piętę. Żelówka z przyczepnego, wytrzymałego i lekkiego materiału Vibram®, doskonała do jazdy na rowerze i na piesze wycieczki. Amortyzująca podeszwa środkowa EVA, połączona z elastycznym śródstopiem o połówkowej długości. Dostępne rozmiary: 38-48.



Cena: 863 zł
www.shimano-polska.com

Cena: 99 zł
www.thenorthface.com

THE NORTH FACE SLANT

Lekkie rękawice idealne na górskie wycieczki rowerowe czy zawody MTB.

Siateczka na całym grzbiecie dłoni z poliuretanowymi wzmocnieniami kontrolującymi rozciąganie. Siatkowe boki palców zapewniają dobrą wentylację. Miękki obszar na kciuku do wycierania nosa oraz wzmocnienie chwytu hamulca na czubkach palców zapewniają większą funkcjonalność na trasie. Perforacja w strategicznym miejscu dłoni dla większej wygody.



Cena: 499 zł
www.thenorthface.com

THE NORTH FACE STORM TRACK SHORT

Tkane elastyczne spodenki, zaprojektowane dla miłośników kolarstwa górskiego. Są luźniej dopasowane, wyższe w talii i mają regulację na rzepy na biodrach. Posiadają odpinaną, miękką, odpowiednio wyprofilowaną wkładkę w kroku (w wersji męskiej i damskiej), zapewniającą komfort jazdy na

rowerze nawet przez wiele godzin. Wykonane z elastycznej siatki wewnątrz spodenek jest przepuszczalne i odporne na zapachy.



Cena: 399 zł
www.thenorthface.com

VICTORINOX CADET LIMITED EDITION

Jeden ze sztandarowych produktów szwajcarskiej marki Victorinox – szcyzoryk Cadet – dostępny jest teraz w limitowanej edycji, gdzie tradycja i wysoka jakość opatrzone wieczystą gwarancją spotykają się z najnowszymi trendami światowego designu. Limitowane Cadety sprzedawane są w pięciu atrakcyjnych kolorach wraz z etui, które wykonane jest z cielęcej skóry najwyższej jakości. Jako że marka Victorinox słynie ze szczególnej troski o środowisko naturalne, każdy prezentowy box, w który zapakowany jest produkt, poddaje się stu procentowemu recyklingowi.

Cena: 85 zł
www.victorinox.com.pl



THE NORTH FACE MUDDY TRACKS JACKET

Tę kurtkę powinien posiadać każdy kolarz górski. Świetnie chroni przed deszczem i błotem za sprawą tkaniny 2.5L HyVent™. Ponadto idealnie „oddycha”, czyli wypuszcza na zewnątrz wilgoć i parę wodną, jaką nasz organizm produkuje podczas wysiłku, np. gdy jedziemy rowerem pod górę. Nie krępuje ruchów, ma wyprofilowane rękawy dostosowane do ustawienia rąk na kierownicy roweru. Obniżona tylna krawędź zapewnia dodatkową ochronę podczas pochylania się na rowerze.

Jednym słowem - obowiązkowe wyposażenie bikerka.



Wiosną dzieci rosną

II RP miała jeden z najwyższych wskaźników przyrostu naturalnego w Europie. W latach 1932-1938 wynosił on 12 promili. W roku 1935, gdy wykonano to zdjęcie, warszawiaków było około 1,2 miliona.

Na zdjęciu:
Kobiety z dziećmi na spacerze w warszawskim Ogrodzie Saskim, na tle Pałacu Saskiego.





NAC



WŁOCHY



POLSKA

SPROSTOWANIE

W kwietniowym numerze miesięcznika *Poznaj Świat*, autorstwo tekstu "Ślady na piasku" przypisaliśmy omyłkowo Jędrzejowi Czerepowi.

Autorem tekstu jest oczywiście Pan Mateusz Żemła, którego serdecznie przepraszamy.

Tytuł i opisy zdjęć pochodzą od Redakcji.

Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski

dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl • tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego

Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl • tel. 501 602 401

Sekretarz redakcji

Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl • tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy

Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak, Paweł Chara,
Grzegorz Kapla, Romuald Koperski, Robert Mazurek,
Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Grafika DTP & Prepress

Artur Bury

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17

e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl

www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

PROBIER sp. z o.o. sp.k.

80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych

Beata Pernak

tel. 583 508 464

www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004

posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wąty Jagiellońskie 8

IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004

SWIFT BREXPLPWGDA

Reklama

Artur Matys

tel. 663 737 162

Aleksandra Musiał

tel. 664 115 333

Grzegorz Miedziński

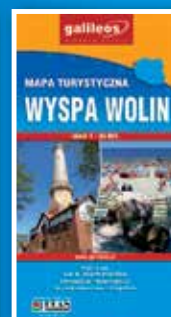
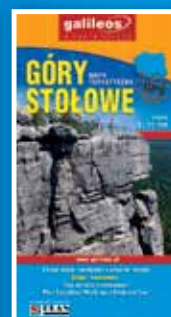
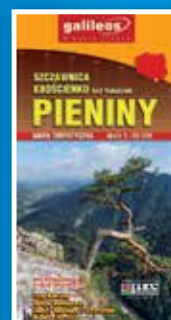
tel. 501 641 706

Olga Kołakowska

tel. 501 050 624

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie odpowiada
za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

■ mapy turystyczne ■ przewodniki ■ plany miast



WYDAWNICTWO TURYSTYCZNE PLAN
58-500 Jelenia Góra, ul. Słowackiego 14
tel./fax 75 75 260 77
plan@plan.jgora.pl • www.plan.jgora.pl



galileos.pl
sklep internetowy





SUMMIT SERIES ALPINE PROJECT JACKET

SPRAWDZONA W NAJTRUDNIEJSZYCH WARUNKACH

W CZASIE WYPRAWY EXPLORING THE ALPS HERVE BARMASSE'A

Niezwykle lekka kurtka z linii Summit Series™ przeznaczona do szybkich alpejskich wspinaczek, w czasie których waga sprzętu ma ogromne znaczenie. Nowy materiał Gore-Tex® Active doceniony zostanie przez tych, którzy szukają idealnej ochrony przed wilgocią i „oddychalności” w każdych warunkach.

Więcej informacji na temat projektu i sprzętu, który pomógł w jego realizacji znaleźć można na stronie thenorthface.com


SUMMIT
SERIES

THE
NORTH
FACE